Rok 1. 15. lipca. Nr. 11 i 12.

# TEKA

czasopismo poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich
wydawane przez
młodzież akademicką.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej, Wybaw nas Panie!
*Adam Mickiewicz:* »Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego«

## Nowa Polska.

Wielkie zainteresowanie budzi obecnie sprawa kolonizacyi Parany przez polski żywioł. Sprawą tą zajmowało się gorliwie polskie Towarzystwo Handlowo-Geograficzne i wypielęgnowało w swem łonie myśl stworzenia z Parany kraju polskiego; myśl tę przyoblekło obecnie w realniejsze formy, przez powołanie do życia Towarzystwa kolonizacyjnego, które wzięło sobie za cel ideę tę przyoblec w ciało. Towarzystwo to wydało broszurę »Polska kolonizacya zamorska«, w której uzasadnia potrzebę takiej organizacyi i wyjaśnia drogi, po których do swego celu iść zamierza, jak stworzyć »Nową Polskę«.

Nowa Polska! Jakże to słodko brzmi dla naszego ucha! Uczucie, jakie te słowa wywołują, porównać chyba można z uczuciem kobiety, która poraz pierwszy wypowiada słowa: moje dziecię. Stworzenie Nowej Polski to wydanie nowego organizmu, choć posiadającego odrębny byt, jednak z krwi i kości naszych, z ducha naszego. Stworzenie Nowej Polski będzie jednym więcej z dowodów żywotności naszego narodu, nie tylko broniącego się, lecz posiadającego też organiczną twórczość.

Dziś nie możemy jeszcze mówić o tem jako o fakcie dokonanym: Nowa Polska poczęła się dopiero w naszej myśli. Powstała ona już nie dziś; różne strony świata wskazywano jako miejsce Nowej Polski; teraz wystąpiła ona tylko konkretniej, namacalniej. Samo takie istnienie tej myśli bez przerwy świadczy, że organizm nasz pracuje w tym kierunku, że potrzebuje nietylko wyrzucić ze siebie nadmiar ludności, lecz także stworzyć gdzieś w świecie odbicie swego ja. Nie możemy patrzeć obojętnem

okiem, jak tysiące za tysiącami rzucają rodzinną glebę i toną w morzu obcych ludów, wzmacniając je. Gdyby to były wyrzutki społeczeństwa, możnaby na to być nieczułym, nawet cieszyć się, lecz tu żywotne cząstki organizmu odrywają się i giną; giną nie jako jednostki, lecz jako części naszego narodu. Nie mówię tu o korzyściach materyalnych jakieby wypłynąć mogły dla obu stron ze stworzenia silnej polskiej kolonii, bo to dla mnie ma podrzędną wartość, lecz mówię z poczucia ducha narodowego. Duch narodowy może rozwijać się i zanikać, potężnieć i kurczyć się. Stworzenie Nowej Polski byłoby potężnym rozrostem jego. Kto nie ma zmysłu dla tegoż ducha, niech uda się do broszury towarzystwa kolonizacyjnego, a ona powie mu i o korzyściach materyalnych.

Chodzi teraz oto, czy Parana jest odpowiednim krajem do stworzenia Nowej Polski? Jeżeli zastosujemy tu ogólne prawa, że działanie siły jest najskuteczniejsze w kierunku najmniejszego oporu i że rozwijanie dalsze z zaczątków jest łatwiejsze niż budowanie od nowa, to Parana wydać się musi krajem odpowiednim. Ludność Parany jest obecnie minimalna; na obszarze 3 razy większym niż Galicya mieszka zaledwo 250 tysięcy ludności, a w tej liczbie już 100 tysięcy Polaków. Nie może więc być obawy przed zatonięciem tam w obcym żywiole. Tembardziej, że ludność miejscowa pod względem kultury nie stoi wyżej od polskiej, nie może więc mieć tej siły atrakcyjnej, jaką np. wywierają Stany Zjednoczone i Kanada. Pod względem klimatycznym warunki są bardzo sprzyjające kolonizacyi przez nasz lud. Klimat zdrowy, temperatura znośna, chociaż kraj położony pod zwrotnikiem ale w wielkiej wyniosłości nad poziom morza, bo dosięgającej do 1000 m. Ziemia żyzna i dobrze nawodniona, sąsiedztwo morza na całej jednej granicy. Jakie może być bogactwo mineralne dziś niewiadomo dokładnie; w górskich jednak okolicach prawdopodobnie znajdują się bogactwa mineralne, w które bardzo uposażona Brazylia. Kolonie rolnicze są przeważnie w rękach Polaków, i doskonale prosperują. Nadto w miarę rozwoju kolonizacya posuwać się może wzdłuż biegu rzeki Parany, aż do jej ujścia i opanować główny port Buenos Ayres — Ludność miejscowa i rząd są przychylni Polakom, ustawy krajowe liberalne w niczem nie krępują rozwoju polskości.

W kolonizacyi tej jedna jest bardzo ważna rzecz; ażeby osiedlał się tam nie sam tylko lud prosty lecz w odpowiednim stosunku i żywioł inteligentny. Kiedy chłop będzie osiadał rolę, inteligencya

powinna kolonizować i stwarzać miasta. W kraju takie narzekanie na nadmiar ludzi i tej kategoryi, niechże ci staną się pionierami cywilizaczi i życia polskiego w Nowej Polsce, którym w kraju za ciasno, którzy tylko biedować muszą. Z początku każdy emigrant przejść musi przez pewną walkę, jednak w kraju dziewiczym i o pierwotnych dosyć stosunkach nie trudno się wybić na wierzch. Emigracya taka będzie najłatwiejszą nie w pojedynkę, lecz w grupach; grupy złożone z kilkunastu lub więcej osób łatwo dadzą sobie radę w nowym kraju i otworzą dla siebie dogodne warunki bytu. Komu więc za ciasno w domu, kogo nie straszy trud, ten w porozumieniu z innymi niech idzie szukać szczęścia za oceanem w Nowej Polsce, nie czeka, aż zgrzybieje, lecz póki są siły młode i zapał i łatwość przystosowania się do nowych warunków bytu.

*P. P.*

## „Przyjaciel“ Polaków*).

A dalej pisze Delbrück: »Osiedlanie niemieckich chłopów na polskiej ziemi społecznie i ekonomicznie jest czynem nadzwyczaj pożytecznym, pod względem zaś narodowym przez to osiąga się nadzwyczaj mało. Państwo oprocentowuje kapitał tylko na $1^3/_4{}^0/_0$, darowuje zatem każdemu koloniście w ogólności wziąwszy połowę swych kosztów. Razem dotąd ściągnięto na wschód nie więcej nad 1500 familii chłopskich, z których każda kosztowała państwo 16.000 marek, do połowy tylko oprocentowanych.

»Dla agitatora polskiego niema lepszego systemu jak nasz. Rzeczywista jakaś represya polonizmu nie następuje. Polacy ekonomicznie i kulturalnie lepiej postępują aniżeli Niemcy, a zarazem odżywia się ciągle w nich uczucie, że są poddanymi drugiej klasy, że król chętniejby na miejscu ich widział Niemców. Szkoła ludowa w obcej mowie nie pozwoli agitacyi ni dnia zasypiać, i tak potęguje się przeciwieństwo narodowe do coraz większej zaciekłości. Jeżeli Polacy przypomną sobie język własny i historyę, dawną swą potęgę narodową, natychmiast zarzuca im się: wasza agitacya jest zdradą stanu, pracujecie nad oderwaniem tej prowincyi od monarchii pruskiej, trzeba nieufać wam, trzeba wam przeciwdziałać, urzędy trzeba obsadzać Niemcami, polskiej propagandzie trzeba stawić opór przez wzniecenie niemieckiego poczucia narodowego. Wszystkich tych konkluzyi bezwarunkowo nie

*) Zob. nr. 10.

można odrzucać, ale jasnem jest, że tem samem agitacyi przysparza się coraz to świeżej materyi. Tak więc znajdujemy się w stanie wiecznej wojny, stanie, który koniecznie wyjść musi na korzyść Polaków. Oni są uciskani, naturalnem więc jest, że lepiej trzymają się kupy i ekonomiczny bojkot przeprowadzają ściślej; oni mają podporę w kościele katolickim; przypadkowa okoliczność ekonomiczna, że z zaboru rosyjskiego ciągle otrzymują zasiłki wzmacnia ich niższe warstwy, w wyższych mają tę korzyść, że cała inteligencya, którą u nas zużytkowuje państwo, urzędy i stan oficerski, u nich garnie się do życia ekonomicznego. Wyzuliśmy ich z państwa narodowego, ale odjęliśmy im zarazem ciężar, niezmierny ciężar funkcyi państwowych. Tak więc mimo wszelkiego ucisku, a można go wzmocnić o ile się zechce, narodowość polska nie tylko nie cofa się wstecz, ale utrzymuje się a nawet naprzód postępuje przeciw, skądinąd tak znacznie silniejszej, niemieckiej.

»Czyżby nie było innego systemu w obchodzeniu się z oderwanemi częściami narodowościowemi?

»Jakżeż to poczęli Francuzi, że poczciwi alzaccy Niemcy nie tylko dobrowolnie ale nawet trwałą i silną miłością, przyłączyli się do obcego państwa zachowując przytem swoją niemieckość?

»System traktowania sprawy narodowej proponowany i podany w rocznikach trzyma się następujących wskazówek: wychodzimy z zasady, iż przy sporze narodowości interes wyżej stojącej, a więc niemieckiej, nakazuje przeciwieństwa narodowego o ile możności nie zaostrzać, ale je usuwać. Im mniej się Polaków drażni, tem mniej się oni jednoczą, im słabszy jest moralny nacisk kładziony na utrzymanie narodowości, tem łatwiejszem staje się przejście z jednej do drugiej — naturalnie z niższej do wyższej — z polskiej do niemieckiej. Przedewszystkiem trzeba zważać na to, żeby Polacy się rozdwoili. Zaraz po roku 1870 byłoby, podług mniemania dobrych znawców owych okolic, dla państwa pruskiego możliwem zjednać sobie polskich chłopów. Stan ten pamiętał jeszcze bardzo dobrze o dawniejszem poddaństwie i umiał trafnie ocenić to, co zawdzięczał państwu pruskiemu. W roku 1866 i 1870 bili się Polacy tak samo za swego króla, jak Niemcy. W ten czas nastała walka kulturalna i popchnęła masy ludu polskiego na nowo w ramiona duchowieństwa i szlachty. Dziś chcianoby walkę kulturalną nazwać błędem, popełnionym przez księcia Bismarka. Ja tego nie czynię; to mojem zdaniem była walka nieunikniona. Jest też niesłusznie nazwać wynik walki kulturalnej klęską rządu. Jak-

kolwiek bowiem politycy na onę walkę się zapatrują, przyznać muszą, że w podbijaniu narodowości kresów wschodnich wyrządziła ogromną szkodę. Z walki kulturalnej dobyli Polacy siły, którą dziś dysponują.

»Poważny polityk powinien mieć na uwadze tylko te cele, które zupełnie lub choć w części może osiągnąć. Dążąc do rzeczy niemożliwych, popada w położenie, które zło jeszcze pogarsza. Oto, co zarzucam naszej »polityce polskiej«. Bez wątpienia jest nam niewygodnem, że mamy we wschodnich dzielnicach 3,000.000 obywateli nie niemieckich, a gdybym znał środek, przemieniający Polaków z czasem w Niemców, lub zniewalający ich do opuszczenia stron rodzinnych, niezaprzeczenie byłbym za nim. Że tą dziś obraną drogą do celu nie dojdziemy, rząd sam przyznaje, bo ogłasza, że uprawia politykę polską tylko dla stłumienia agitacyi i postępów polonizmu. Wykazałem, zdaje mi się, że dzisiejszymi środkami polonizmu się nie stłumia, ale przeciwnie, że się przyczynia do jego rozwoju. Agitacyi zaś nigdy nie będzie można stłumić zupełnie, bo żyjemy w konstytucyjnem państwie. Moskalom powiodło się (sic!?) w Królestwie i niemieckich dzielnicach nadbałtyckich zdusić zupełnie agitacyę za pomocą najsroższych środków. Czy im to pomoże na dłuższy czas, wielkie pytanie. W Prusiech atoli, gdzie wolnością cieszą się prasa, zebrania i stowarzyszenia, można tu i owdzie wykonać represyę, lecz ogólnie daleko się nie zajdzie, a agitacyę, której nie można stłumić zupełnie, żywi się i podsyca środkami represyjnymi jeszcze bardziej.

»Tak mi te wszystkie względy wydają się jasne i słuszne; a muszę się otwarcie przyznać, iż wątpię, aby w najbliższym czasie nasza polityka stała się lepszą. Dwa najsilniejsze czynniki dzisiejszej daty działają razem i popychają nas dalej na drodze niebezpiecznej, jest to: narodowy fanatyzm i biurokracyjna rządza panowania. Od ogółu wymagać nie można, żeby sobie uświadomił problem duński i polski i rozważył, czy użyte środki celowi odpowiadają czy nie. On wie tylko to, że w obrębie naszego państwa żyje nieprzyjazny nam żywioł, stąd trzeba walczyć przeciw niemu, im energiczniej, tem lepiej, a kto tej zasadzie nie sprzyja, tego myśl narodowa nie ożywia. Tak samo mniema i prawdziwy pruski urzędnik, jakoby dobra administracya wszystko zdołała, przeto i Polaków przemienić w Niemców, a myśl, że tym razem byłaby na porządku dziennym rozumna władz wstrzemięźliwość, cuchnie mu przewrotem i rewolucyą«.

Tyle Delbrück. Czytelnik sam poznał dokładnie tego naszego »przyjaciela« i będzie umiał »przyjaźń« tę należycie ocenić. Tu

znowuż okazuje się w całej pełni ohyda i cynizm, z jakimi bronią nas ci nasi »przyjaciele«, których »poważna« część społeczeństwa nie przestaje nam wyliczać i wychwalać.

Tacy »przyjaciele« znają nas o wiele lepiej, niż my sami siebie; wiedzą dobrze, że ogół naszego społeczeństwa jeszcze długo a długo nie dorósł do tego, by najmniejsze chociaż odzyskiwane prawo przyjąć i uważać jako coś, co mu się słusznie i sprawiedliwie należy; wiedzą, że ono będzie uważało to za dobrodziejstwo, chociażby rzecz była najmarniejsza bez żadnej praktycznej doniosłości, a niekiedy nawet zawierająca jad trujący, którego nie spostrzeże ogół bezmyślny i bezkrytyczny; wiedzą dalej, że poczciwcy nasi będą się poczuwali do jakiejś wdzięczności, która z czasem mogłaby się spotęgować do przyjaźni, a kto wie, czy nie miłości do dzisiejszych ciemięzców, no i powoli ale pewno zatrzeć wszelką naszą odrębność narodową.

Któż temu winien, że społeczeństwo dotąd w takiej politycznej błądzi ciemnocie?

Nikt inny jak przewodnicy jego, jak ci, co dotąd jeszcze na nieszczęście naszego narodu rej w nim wodzą, nie na mocy swej dzielności, nie siłą swej inteligencyi lub uzdolnienia, nie czasem z patryotyzmu i poświęcenia dla narodu, ale owiani aureolą swego imienia, która dziś jeszcze aż nadto ma blasku, by olśnić ciemnych.

Dotychczasowi przewodnicy sami już poznali swoją wewnętrzną niemoc, wiedzą. że są tylko bańką mydlaną, co błyska jeszcze we wspaniałych kolorach i mieni się w świetle, ale za lada dotknięciem gotowa się rozprysnąć i to rozprysnąć na zawsze. Dlatego też trzeba ją ustrzedz przed każdym świeższym powiewem, każdą myślą śmielszą i nowszą. Liczą i to niestety ze skutkiem na ciemnotę i głupotę ludzką. Tanim kosztem wzmacnia się zachwianą potęgę i nowego przysparza blasku zwołując »wiece generalne«, a zamiast wiecu urządza się coś w rodzaju próby teatralnej dla specyalnie spędzonych delegatów i przedkłada kilka rezolucyi, których treść już dawno każdemu znana, aby społeczeństwo miało możność podziwiania wielce politycznej mądrości swych prowodyrów. A społeczeństwo słucha i podziwia i schyla głowy.

Kto wie czyby szczerości tego wiecu nie można porównać z szczerością takiego Delbrücka wobec nas. Boż to człowiek pokrewny im. Na nim i na podobnych jemu mężach opiera się cała zgoda i przyjaźń »Prusaków polskiej narodowości«. Tak przynajmniej tłómaczą ją sobie ludzie uczciwie i poczciwie w nią wie-

rzący, którzy w każdym Delbrücku lub Caprivim węszą przyjaciela Polaków.

Nie każdy jednakże jest w tak nieszczęśliwym przypadku, by przyparty do muru, musiał odsunąć przyłbicę, jak uczynił to Delbrück. Byli ludzie inni, którzy tego uczynić nie potrzebowali; ci dotąd u nas uchodzą za półmęczenników sprawy naszej.

Niech wspomnę tylko jednego, byłego kanclerza rzeszy, Capriviego. »Był łagodny dla Polaków, sprawiedliwy i ludzki; jemu zawdzięczamy pozwolenie na udzielanie lekcyi polskich w szkołach; Niemcy nie lubili go za to«. Tyle wystarczy dla poczciwca, by zrobić Capriviego przyjacielem Polaków.

Ale przedewszystkiem trzebaby się tu zapytać, czy jest możliwe, aby urzędnik i to urzędnik pruski kierować się mógł sprawiedliwością i ludzkością w stosunku do Polaków i do tego taki urzędnik jak kanclerz rzeszy.

Polityka a ludzkość, to po dziś dzień nuty wykluczające się prawie, a najzupełniej już w Prusiech.

A teraz to dobrodziejstwo jego, te lekcye polskie w szkołach? Jest to najsmutniejsza farsa, jaką wystawić sobie można, tem smutniejsza, że dziwnie różowo dotąd spoglądamy na to »dobrodziejstwo«. Na innem miejscu szczegółowo o tem pomówimy.

Jakżeż możemy się łudzić takiemi dobrodziejstwy: jakże czekać jakiejś wymarzonej ludzkości i sprawiedliwości rządu, kiedy ten rząd codziennie, niemal co godzinę, daje nam najzupełniej przekonywające dowody, że pragnie naszej zagłady.

Myśl jego przewodnia, to wyplenienie, wynarodowienie i eksterminacya zupełna naszego narodu »tego widma Europy«, a chociaż się zmienią systemy, myśl ta pozostanie na zawsze, a rząd nigdy, przenigdy samowolnie od niej nie ustąpi.

I tak być musi, bo to kwestya bytu państwa pruskiego, jak to zupełnie jasno wykazał »Przegląd Wszechpolski« w wyż wspomnianym artykule.

Dla nas ugody i przyjaźni pruskiej nie ma i być nie może, dla nas pozostaje tylko walka nie ta krwawa na razie, ale cicha, spokojna, ale nie mniej zacięta i nieubłagana praca i walka o byt narodu.

Przypatrzmy się zresztą historyi, przez co upadły, powstania z r. 30 i 31 a następnie 48 i poniekąd 63 r. czy nie czasem przez ugodę i to ugodę, w którą nie wierzył wprawdzie naród, ale wierzyli lub zdawali się wierzyć ci, co go prowadzili — tak samo jak dzisiaj.

Nigdy otwarta walka nie przyniesie tylu strat, co skryta i podstępna w której ogół nie dostrzeże i nie widzi przeciwnika, co klęskę po klęsce zadaje.

Każda próba ugody z nami dotychczas ze strony wrogów była tylko zasadzką, z naszej zaś dziecinnie szczera i otwarta. Otwarte wrogów zaczepki można porównać z trucizną ostrą i gorżką, zaś ugodę i obsypywanie nas »dobrodziejstwami« z trucizną w słodkie owiniętą cukry. Zażywszy pierwszej i poczuwszy, że gorzka, ockniesz się i będziesz miał czas użyć środków zaradczych, zanim oddziała szkodliwie na twój organizm. Co do drugiej, jest słodka i miła a działająca wolno i nieznacznie; prawie nie czujesz jak cię opuszczają siły i zginiesz, jeżeli przypadkowo po zawczesnym, szyderczym uśmiechu częstującego nie poznasz, że to zdrada, że o życie twe chodzi, a wtenczas jeszcze długo, bardzo długo leczyć się i pracować będziesz musiał, by do dawnych przynajmniej dojść sił i dawnej czerstwości.

Znając ideę przewodnią państwa w stosunku do nas nie pójdziemy na lep żadnych »przyjaciół« ani »dobrodziejstw«, które dla nas są tylko darem Danaów, lecz, nie oglądając się na nie, pracować będziem nad podniesieniem z systematycznym a planowym rozwojem sił swoich. A siły narodu staną się potęgą, która skutecznie upomnieć się będzie mogła o wszystkie prawa swoje.

W tej myśli pracować i walczyć będziem zawsze pomni, że walka z przemocą niszczyć może, lecz walczących nie plugawi, zaś przyjaźń pruska, to trucizna, która niszczy i plugawi.

Z Wielkopolski.

*Edward L.*

---

## Kilka uwag o wiecu maturzystów.

Dnia trzeciego lipca odbył się we Lwowie wiec maturzystów w hali muzycznej na placu powystawowym. Wiec urządzony pod hasłem nieufności między poszczególnemi partyami młodzieży, zwołany przez partyę, która bierze w arendę i wyłączny monopol wszelki postęp, która z bezwzględnością i wprost brutalnością uderza na każde cnoć trochę różne zdania i zasady, nie mógł wywołać zbytniego zainteresowania u ogółu młodzieży. I nie winne tu jakieś, dość powszechne u nas, patrzenie nie na to, co się robi tylko kto robi, jak raczej to smutne doświadczenie, jakiego już wszyscy nabrać mogli, że partya socyalistyczna nie potrafi

nigdy wznieść się po nad partyjny kąt patrzenia, że w każdej czynności tych ludzi, w każdem ich słowie prędzej czy później wyjdzie zawsze i jedynie »partya« i cele tej »partyi.«

To też nikogo znającego te stosunki nie zdziwiło, gdy i ten wiec o programie tak ogólnym i, dodajmy, tak pięknym, przemienił się wkrótce na arenę, na której pp. Mokłowski i Przygodzki z zaciekłością godną lepszej sprawy werbowali sobie nowych członków do swoich »klik«. I najlepiej odczuli tę cechę wiecu sami maturzyści, których główny przedstawiciel Stan. Szczepanowski powiedział, że on i jego koledzy odnoszą wrażenie, jakby byli kawałkiem mięsa, o który drą się różne partye.

To też nic dziw, że wiec zgromadził uczestników bardzo nie wielu (liczba maturzystów nie przekraczała dziesiątki) a na bezstronnych jego uczestnikach wywarł wrażenie bardzo smutne i przygnębiające. Wiec dowiódł na nowo, że nie umieją u nas nic urządzać bez interesu prywatnego, bez interesu »partyi«, że te kółka i kółeczka, na które się młodzież rozpada, to ciągłe ich ścieranie się i walka jest pierwszą przyczyną, dla której żadna myśl piękniejsza nie dojdzie do skutku, dla której tyle siły i energii i zapału marnuje się i bez skutku przechodzi.

Trochę mniej ambicyi własnej a choćby »partyi« trochę mniej bezwzględności i zaściankowości, a więcej wyrozumiałości i serdecznej życzliwości, trochę mniej zamykania się tylko w swoim kółeczku, a więcej pracy wspólnej, we wspólnem ognisku, a wszystko pójdzie prędzej i lepiej i prędzej zbliży się cel daleki i upragniony, cel przecież wszystkim nam bez różnicy wieku i przekonań wspólny.

---

# Przyczynek do historyi morderstw rytualnych.

Znanym powszechnie jest przesąd, jakoby żydzi używali do niektórych aktów rytualnych krwi chrześciańskiej. Przesąd ten nie tylko u ludu ma głęboką wiarę, podtrzymywaną antagonizmem o charakterze religijnym i rasowym, ale co dziwniejsza, nawet ludzie inteligentni głoszą nieraz podobne twierdzenia, a i w dziennikach (zwłaszcza antysemickich) od czasu do czasu ukazują się obszerne historye o tajemniczych morderstwach na tle jakoby rytualnym.

Nie zamierzamy, bynajmniej, zwalczać tu powyższego przesądu, pragniemy tylko zwrócić uwagę na rzecz mniej znaną, tę mianowicie, że sprawa morderstw rytualnych ma poza sobą w Polsce kilkuwiekową historyę, sięgającą co najmniej do wieku XIII.

Już najstarszy przywilej [1]) żydowski Bolesława Kaliskiego z r. 1264. zawiera między innemi także postanowienie odnoszące się do powyższej sprawy. Zakazuje on oskarżać żydów, iż używają krwi udzkiej. Jeśli jednak żyd przez chrześcianina zostanie obwinionym o zabójstwo dziecka chrześciańskiego, natenczas dowodzić tego należy sześcioma świadkami, a to trzema żydami i trzema chrześcianami. Gdy dowód się nie uda, poniesie oskarzyciel za niezasłużoną potwarz karę taką samą, jaką byłby żyd poniósł. Widzimy zatem, iż kara na oskarzyciela była bardzo surową, a przepis powyższy — jak w ogóle cały przywilej Bolesławowski — jest w interesie i na korzyść żydów, znosi bowiem z góry możliwość przeprowadzenia dowodu, gdyż nikomu nie mogłoby się powieść znaleść 3 żydów, którzyby chcieli złożyć przysięgę przeciwko swemu współwyznawcy, a do tego w sprawie o charakterze religijnym. Dla wyjaśnienia dodać jeszcze należy, że stosownie do ówczesnych pojęć prawnych, owi świadkowie nie byli świadkami w dzisiejszem tego słowa znaczeniu. Przysięgą swą stwierdzali oni jedynie siłę przysięgi oskarzyciela, byli to zatem tzw. społem przysięgający. nie zaś świadkowie naoczni, którzy stwierdzają pewien fakt znany im z bezpośredniej obserwacyi.

Ten przywilej żydowski z r. 1264. stanowiący punkt wyjścia dla wszystkich dalszych przywilejów żydowskich, przechodził z biegiem czasu różne koleje, a w literaturze prawa polskiego niejednokrotnie się nim zajmowano. Oryginał przywileju nie zachował się; znanym on jest tylko z późniejszych zatwierdzeń, z których najstarsze pochodzą z czasów Kazimierza Wielkiego, i to w kilku wersyach. Jedna z tych wersyi, którą się tu zajmiemy, jest sfałszowaną. Jest to t. zw. rozszerzony przywilej Kazimierzowski,[2]) który żydzi przedłożyli Kazimierzowi Jagiellończykowi w r. 1453. do zatwierdzenia w kopii bez daty, twierdząc, iż oryginał zginął w czasie pożaru Poznania. Król zatwierdził przywilej pomimo, że już współcześnie uważano go za podrobiony, a kardynał Oleśnicki w liście do króla robił mu wyrzuty, że to uczynił. Jakoż w rok później statutem nieszawskim odwołał Kazimierz powyższe zatwierdzenie.

Blisko sto lat później zdołali żydzi znowu uzyskać zatwierdzenie tego podrobionego przywileju od króla Zygmunta I. (r. 1531). poczem już wszyscy niemal jego następcy również go potwierdzali, po raz ostatni Stanisław August w r. 1755.

---

[1]) Drukowany kilkakrotnie. Zob. prof. Balzera: Corpus iuris Polonici Nr. 21.

[2]) Dr. Filip Bloch w rozprawie: *Die General-Privilegien der polnischen Judenschaft,* nazywa go »statutem Bolesławsko-Kazimierzowym«.

Że ten rozszerzony przywilej rzeczywiście jest sfałszowanym udowodnił Hube.[1]) Przeciw jego wywodom, a za autentycznością wystąpił Dr. Filip Bloch,[2]) argumenta jednak i hipoteza jego nie wytrzymują krytyki.[3])

Jak dotychczas zatem, musimy powyższy dokument uważać za podrobiony, a to nam jasno tłumaczy dlaczego, (według słów Blocha) zawiera on najwyższą miarę uprawnień, jaka w wiekach średnich i aż do końca ubiegłego stulecia przyznaną została żydom w jakimkolwiek kraju.

Co się tyczy przepisu w sprawie morderstw rytualnych, który nas tu wyłącznie obchodzi, stwierdzić należy, że tak pod względem formy, jak i treści w przywileju rozszerzonym znalał się w kształcie zmienionym w porównaniu z owym oryginalnym przywilejem z r. 1264.

Przywilej Bolesława mówi w ogólności o używaniu »krwi ludzkiej«, przyw. rozszerzony zaś »krwi chrześcian i sakramentu kościoła chrześciańskiego«.

Pierwszy nie podaje rodzaju kary za podobną zbrodnię; drugi wymierza karę śmierci, która spotkać ma także potwarcę.

Przeprowadzenie dowodu zapomocą owych 6 świadków zostało jeszcze bardziej utrudnionem, określono bowiem bliżej, jacy to mają być świadkowie: Żydzi mają być dobrymi i mającymi posesyą (*boni et possessionati*) w Królestwie i tacy, którzyby nie byli w sławie swej zniszczeni i w wierze poruszeni, również chrześcianie mają być *bene possessionati* i w sławie swej nienaruszeni.

Ponadto przywilej rozszerzony zawiera następujące nowe postanowienia: A »jeśliby za takie rzeczy szlachta, obywatele albo mieszczanie królestwa naszego tym żydom naszym gwałt czynili prawem ich nie przekonawszy«, tedy dobra ich ulegają konfiskacie na rzecz skarbu. Wreszcie jako jedynie kompetentny oznacza sąd wojewodziński, i żyd przed inny sąd zapozwany nie będzie obowiązanym odpowiadać.[4])

Zdawałoby się, iż tak ostre przepisy ustawodawcze usuną w zupełności skargi na żydów o morderstwa w celach rytualnych. Tymczasem tak nie było, bo zwyczajnie w Polsce prawo zwyczajowe było silniejsze niż pisane i przypuszczać należy, że także

[1]) Bibl. warszawska T. I. 1880.

[2]) Die General-Priviligien etc. j. w.

[3]) Zob. recenzyę Dra A. Winiarza w Kwart. hist. R. VIII. str. 500.

[4]) Cytuję tu według tekstu polskiego znajdującego się w Archiwum Bernardyńskiem we Lwowie Terr. Prem. T. 243. p. 760.

w tym wypadku nie stosowano w praktyce postanowień przywileju. Rzecz ta wymagałaby żmudnych studyów archiwalnych, ograniczymy się tu zatem tylko do podania kilku przykładów skarg na żydów.

W r. 1573. zaskarżyli żydzi wójta pewnego miasteczka pod Brześciem lit., że wbrew przywilejowi wtrącono do więzienia żyda Nachima obwinionego o zabicie dziecka chrześciańskiego. Zwłoki tego dziecka odgrzebano dla przekonania się, czy ma na czole wycięty krzyżyk, co miało stanowić niechybny dowód w sprawie.

W r. 1698. najpierw sąd w Sandomierzu, następnie trybunał lubelski sądził sprawę o zabicie dziecka przez Aleksandra Berka alias Berkowicza z Sandomierza. Obwinioną była również matka Katarzyna Mroczkowiczowa o dobrowolne oddanie swej córki dwuletniej, Małgorzaty, celem zamordowania. Ekspertyza lekarska oprócz wielu innych ran, wykazała także, że »pod paznokciami u rąk wszystkie palce były skłóte i krew z nich wyciśniono.«

W r. 1743. matka wnosi skargę na żydów o kradzież dziecka i wydobywanie z niego krwi do celów rytualnych. Lekarze i chirurgowie po zbadaniu dziecka (które żyło) znaleźli na ciele 5 ran ciętych ostrem narzędziem.[1])

W r. 1861. sąd grodzki krasnostawski sądzi sprawę 4 żydów o »zamęczenie trojga dzieci« i inne zbrodnie. Nie powiedziano wprawdzie w zapisce wyraźnie, iż chodziło tu o morderstwo rytualne, ale powyższe wyrażenie czyni to wielce prawdopodobnem. Zresztą rzecz jest tak charakterystyczną dla stosunków XVIII. wieku, iż warto ją przytoczyć. Otóż winowajcy skazani zostali na ćwiertowanie żywcem, lecz »że za łaską Ducha św. a staraniem tamecznych Jezuitów do wiary świętej się nawrócili i chrzest już na samym placu przyjęli, przeto łaskawszej sprawiedliwości, bo tylko pościnani, doznali. Ciała ich przykładną pobożnością sam ks. biskup chełmski z duchowieństwem tamecznym do katedry, gdzie pogrzebione, zaprowadził. Współwinowajca, rabin synagogi w Wojsławicach, mając na torturach być ciągnionym, sam się w więzieniu powiesił, zatem go sąd do ogona końskiego przywiązawszy wywlec za miasto, spalić i proch z armaty wystrzelić rozkazał. Innych o też i podobne występki powołanych żydów, jeśli złapani będą, żywo także ćwiertować i na pal wbijać pomieniony urząd osądził.«[2])

---

[1]) Powyższe przypadki zaczerpnięte są z rozprawki Dra Giedroycia: *Ekspertyza lekarska w dawnych sądach polskich.* Warszawa 1896. str. 63, 66, 42.

[2]) Wisła, T. IV, (1890) str. 817.

Że jeszcze w drugiej połowie XVIII. wieku procesy podobne musiały być bardzo częste, świadczy następujący szczegół. W roku 1758. wysyłają żydzi polscy Jakuba Jelka do papieża Benedykta XIV. »na ubłaganie od stolicy apostolskiej obrony od nieznośnego uciemiężenia nietylko na osobach ale i na fortunach od chrześcian doznawanego« wskutek posądzeń o morderstwa rytualne i uzyskali rzeczywiście od Klemensa XIII. przychylne orzeczenie w tej sprawie. Dodać należy, że nie po raz pierwszy uciekają się żydzi do stolicy apostolskiej, gdyż już pierwszy przywilej Bolesławowski powołuje się na „*constitutiones papae.*“

Odnośny ustęp z przywilejów królewskich, jakoteż listy kardynała Orsiniego i nuncyusza Viscontiego wnoszą żydzi do aktów w rozmaitych grodach, widocznie w tym celu, aby odwrócić od siebie groźne procesy o zbrodnie rytualne i przypomnieć władzom, jakie w tym kierunku przysługują im uprawnienia.

Oba te listy jako ciekawy przyczynek do omawianej sprawy podajemy w całości.

*List*[1]) *kardynała Orsiniego z Rzymu do nuncyusza papieskiego w Warszawie z dnia 9. lutego 1760.*

Niniejszy list pokazujący Jakub Jelek, żyd rodem z Polski, tenże sam jest, który przedtem 1758. roku za panowania naszego papieża Benedykta XIV. do Rzymu przyjechał na ubłaganie imieniem żydów w Polsce mieszkających łaskawej od stolicy apostolskiej obrony, którąby zasłonieni żydzi od nieznośnego (jak powiadają) uciemiężenia, nie tylko na osobach, ale i na fortunach także od chrześcian doznanego uwolnieni byli. Dzieje się wielka im krzywda, gdy pospólstwo ich o zabójstwo oskarza, fałszywem wsparci udaniem, jakoby żydzi do chleba przasnego krwi ludzkiej, osobliwie chrześciańskiej przymieszać zwykli. Teraz szczęśliwie panujący, najwyższy papież Clemens XIII. w dokładnem przetrząśnieniu tej sprawy wszelkiej przyłożył pilności, jak roztropność i dowcip jego i wielkość wyciąga rzeczy, o czem za inną sposobnością osobliwa Wielmożnego W. Pana dojdzie wiadomość. To tylko Jego Świętobliwość oznajmić rozkazała, że wdzięczna mu rzecz będzie i z wolą zgadzająca się, aby WMość wyżej wyrażonemu Jakubowi Jelkowi wszelką skuteczną wyświadczył obronę, ażeby do ojczyzny powracający żadnych przykrości napaści nie miał, osobliwie od tych, którychby Waszmość być rozumiał za-

[1]) Arch. Bernard. Terr. Prem. T. 243. p. 753—4 (w wierzytelnem tłumaczeniu łacińskiem z włoskiego) i p. 763—4 (w tłum. polskiem).

wziętego serca za to, że do obrony Stolicy udał się. Potrzeba zgodnych szukać środków, ażeby rzecz łatwiej poszła, trzeba objaśnić tych, do których o tem należy i mocną dać obronę niniejszy list przynoszącemu, aby poznał, że własne bezpieczeństwo otrzymał i niezwątlone uspokojenie, że jest dziełem samej łaskawości i pobożności Pana naszego. Najdłuższego życzę od Boga zdrowia etc.

*List*[1]) *nuncyusza papieskiego do hr. Brühla z daty: Warszawa 21. marca 1763.*

Bardzo pewna jest, że naród żydowski w Polsce przebywający przeciwko prześladowaniu któremu uciemiężony jest od św. Stolicy Apostolskiej pomocy i obrony dopraszał się i mnie samego od Świętobliwości Jego rozkazy tego interesu tyczące się zaszły, którym za podaną sposobnością zadosyć uczynić nie omieszkałem. Gdy zaś JW. Wmość Pan chczesz być uwiadomiony o woli Ojca św. wielce się cieszę, że mu teraz o niej donieść mogę. Ojciec św. pragnie, aby wszyscy wiedzieli, że św. Stolica przetrząsnęła wszystkie dowody, na których to porozumienie zasadza się, jakoby żydzi do chleba swego przaśnego macy krwi ludzkiej potrzebowali i z tej przyczyny dzieci zabójcami być są rozumiani. Pokazało się tedy, że nie ma dowodów dosyć jasnych i dostatecznych na utrzymanie i dowiedzenie ónym tego kryminału, który na nich teraz i zdawna wkładają i aby przez to tego występku winnymi mogli być ogłoszeni. Pokazuje się stąd, że w przypadku oskarzenia przeciwko onym uczynionego, dekretu sentencya nie według wspomnionych dowodów, ale według przepisania i reguł dowodów prawnych samej rzeczy tyczących się i pewność występku zarzuconego stanowiących musiałaby być uczyniona Z najniższym ukłonem etc.

*Zbigniew Pazdro.*

---

# O jeszcze raz!

O! jeszcze raz otwarte mieć niebiosy
I słyszeć głosy
Wiecznie — łkających harf na bezkresowych dalach
I z wichrem barw zawisać w tęcz opalach
I rzucać wielką. pieśń zaklętą w spiż i głaz
— O! jeszcze raz.

---

[1]) Tamże Terr. Prem. T. 243. p. 756—7 (po francusku), p. 757—8 w wierzytelnem tłumaczeniu łacińskiem). i p. 765—6 (w tłum. polskiem).

O! jeszcze raz wichrowy lot rozwinąć
I w błękit płynąć
Przez deszcz złocisty palm do wiecznych snu podwoi,
Gdzie cichy psalm rozdarte serca koi
I świętą rozkosz pić z kryształnych czar bez skaz
— O! jeszcze raz.

O! jeszcze raz młodzieńczą wizyę wskrzesić
I myśl zawiesić
Na alabastrach stóp wiecznego Boga tronu
I idąc w grób w ostatnich dreszczach zgonu
Tryumfem ducha grzmieć wśród cielsk pobitych mas
— O! jeszcze raz.

Kraków. *Edward Leszczyński.*

---

# Bez celu.

(Fragment).

---

I.

Było to w tym czasie, kiedy pierwsze wiosenne deszcze bez przerwy jęczały o szyby i kiedy mi powiedziano w jeden smutny wieczór: „Odejdź, pokój z tobą“... Z początku siedziałem godzinami przy oknie nurzając się w dymie tytoniowym i rozpacznych wizyach, potem gnany przez myśli samobójcze wałęsałem się bez celu, — aż wreszcie cała ta tragedya wydała mi się bezdennie lichą i komiczną, w chwili jakiegoś niezwykłego napięcia energii złożyłem niezbędne rzeczy do podróżnej walizki, i pojechałem w świat. W dwa dni później wieczorem brodaty „servo di piazza“ jednego z miejsc kąpielowych austryackiej Riviery rzucił całe moje mienie na barczyste plecy, i poprowadził mnie wąską kamienistą drogą do zakładowego pensyonatu.

Nazajutrz zbudziłem się zły i zmęczony, i czułem jeszcze w nozdrzach trupi zapach topielic, które całą noc przewalały mi się przez mózg. Odziałem się pospiesznie i wyjrzałem przez okno.

Willa w której zamieszkałem, stała w zacisznej zatoce morskiej, zamkniętej z dwóch stron połogiemi zboczami nadbrzeżnego Krasu. Ale krajobraz wydawał mi się mało interesującym; sine, gęste pochmurze zwisało ciężko i bezwładnie nad rozfalowaną szemrząco wodą i ołowianym zarysem bezkształtnych

wysp Veglii i Cherso, a szepcące mrzenie deszczu spływało wielkiemi kroplami po palczastych, jasno-zielonych liściach symetrycznie obsmuszonych kasztanów. Mimo woli przyszły mi na myśl słowa Prudhomma: „Ile wody, ile wody...“ Ponadto nic.

Potem przypomniała mi się dwudniowa podróż koleją, pełna turkotu i dymu, w zamkniętej klatce wagonu, w której wiłem się i szarpałem z bezczynności, nudy i niemocy; całogodzinne jednostajne kołysanie okrętu, elektryczne światła na „sztrandzie“, deszcz, nieznośny targ z tragarzem i gospodynią pensyonatu, powód mego przyjazdu — zmora nocna, i wszystko to przyjęło mnie jakimś wstrętem nieopisanym i niesmakiem przesytu.

Z willi wyszedł wysoki, przygarbiony mężczyzna, w kapeluszu o szerokich skrzydłach. Z za rozłożystego kasztana wysunęła się mała, nędznie odziana dziewczyna i podała mu nieśmiało wiązkę konwalii. Po jej zwilgotniałych włosach ściekały sople deszczu, trzęsła się z wilgoci i zimna. Nieznajomy pogłaskał ją lekko po zmoczonej głowie, rzucił miedziaka, powiedział po polsku „dziękuję“, i zbliżył się do morza. Chciał odejść — ale zawrócił raz jeszcze i zaczął powoli skubać białe wilgotne dzwonki, które padały ciężko na brudno-siną wodę, jak perły z pękniętego naszyjnika. Potem rozwiązał cały pęk kwiatów i mechanicznie po jednym opuszczał je w morze; a kiedy już kwiatów nie stało, oparł się oboma łokciami o metalową balustradę „sztrandu“, zwiesił głowę w dół, kapelusz nasunął na czoło, i tak stał długo, spokojnie, bez ruchu, jakby z nadzwyczajnem zaciekawieniem śledził zielone gałązki i perły białe, igrające z falą. Zupełnie jak wróżka, kiedy z drgnień wody odgaduje przyszłość. Zaciekawił mnie.

Ale wkrótce zacząłem się niecierpliwić. Jego długa, zgarbiona sylwetka, której jedynie szeroki kapelusz i haniebnie fałdujący się szary, wolny hawelok zarysował się ostro i nieruchomie, na chmurnem morzu, zaczęła mnie nudzić i nużyć. Musiałem użyć całego wysiłku woli, aby nań nie zawołać, że widocznie parasola zapomniał w domu. Bo któż widział moknąć na deszczu bez parasola, ot tak, dla jakiegoś głupiego kaprysu.

I znów ogarnęło mnie to samo uczucie wstrętu i niesmaku, co przed chwilą.

Rzuciłem się na łóżko i otworzyłem brewiarz: „Also sprach Zarathustra“. Ale czytać nie mogłem. Zresztą przed oczyma wciąż mi migała szara sylwetka nieznajomego, który rzucał do wody konwalie. Hm... poeta — albo naprawdę chory lub nie-

szczęśliwy. Ale ta jego komedyancka poza smutku była bezdennie mdłą i niesmaczną, jak mdłem i niesmacznem było moje życie w ostatnich dwóch tygodniach z całą swoją partacką scenerią zawodu i cierpienia. Czułem, że dłużej nie mogę sam zostać.

W tej chwili zaskrzypiały drzwi, i ukazała się w nich wielka, biała kokarda szwajcarska, a potem figlarna twarz Pepi:

„Ist serviert".

No, jak na pierwszy dzień pobytu nad morzem spałem nieco za długo. Et! I zeszedłem do sali jadalnej.

Przy stole było markotno i pochmurno, jak na dworze. Przeglądnąłem towarzystwo: kilka pań, trzech oficerów, mało młodzieży: chwała Bogu — sami obcy. Jedno miejsce na przeciwległym końcu stołu było puste: wiedziałem kto je zajmie i czekałem na mego nieznajomego.

Wtedy wszedł on. — Poznałem go zaraz: to był Żarski.

Żarski, ten tułacz wieczny, wydalony już ze wszystkich prawie krajów Europy za niecenzurowane przekonania — ten, który zwiedził więzienia polityczne Rosyi, Austryi, Niemiec, ten, który cztery lata temu tak nas zapalał i rozgrzewał swym przykonywającym, potężnym głosem — a potem nagle, tajemniczo gdzieś znikł, i dotychczas nie zdradził nikomu ani powodu swojej ucieczki, ani miejsca pobytu. Ten Żarski... Taki biedny, wynędzniały, prawie siwy, rzucający apatyczne spojrzenia w koło siebie. Ten władca -- mocarz — bóg, który niedawał spokojnie zasnąć policyi i uksiążęconym złoczyńcom: teraz w ckliwo sentymentalnej szacie cierpienia rzuca zwiędłe konwalie na wodę i może marząc o jakiejś jasnowłosej liczy gałązki: „Kocha — nie kocha.."

I kiedy przechodzi powoli, bez żadnego wyrazu twarzy, jakby wszystkie muszkuły zastygły na niej i obumarły, ludzie oglądają się za nim z dyskretnym półśmiechem, i szepcą coś sobie tajemnie do ucha. A przecież były chwile, kiedyśmy mu się do nóg rzucali, całowali jego płonące dłonie i szaleli mocą nadludzką, gdy w czyją duszę wświecił się jego zimny, magnetyczny wzrok.

Ten sam Żarski.

Patrzyłem na niego nieustannie, ale nie podniósł ani na chwilę wzroku. Siedział sztywny i spokojny, tylko kiedy niekiedy drgało mu nerwowo lewe ramię. Pamiętam, że ten sam ruch powtarzał się u niego zawsze, ilekroć zapalił się i gromy

z ust ciskał na słuchaczów; wtedy robił na mnie czasami wrażenie, jakby sam swoim słowom nie ufał i wzruszał nad niemi ramionami. Tylko że teraz powtarzało się to znacznie częściej, co chwila i bez powodu.

Zaczęto wstawać od stołu.

Przystąpiłem szybko do niego, i przypomniałem mu swoje nazwisko. Popatrzył na mnie zdumiony, drgnął jakby kto lodowate ręce położył mu nagle na skronie, oczy mu dziwnie zmętniały, jak małe jeziorka, kiedy je wiatr do dna rozburzy.

Jakieś ciche, niedomówione słowo załkało mu w duszy, podał mi rękę, odwrócił się szybko i powolnym miarowym krokiem wyszedł z sali.

A ja patrzyłem za nim oszołomiony, bezradny, jakby ktoś ostatnią moją wiarę z korzeniem wyrwał z serca i rzucił na śmiecisko.

II.

Powoli zacząłem wczuwać się w tajemnice morza i miłować jego duszę. Przyszły lazurowe, słodkie dni południowe ciche, spokojne, uśmiechnięte, pełne rzeźkiej, wilgotnej woni morskiej, cichego gwaru fal i szumów skrzydlatych mew. Całemi godzinami siedziałem na sinych odłamach skał nadbrzeżnych, a rozwichrzona gawiedź gorączkowych myśli przypadała do tysiąca falistych, pełnych piersi morza, wpijała się w nie gryzącymi smoczkami i ssała z rozkoszą chłodną, bezkrwistą ich treść. Zapominałem coraz częściej o sobie.

Nie robiłem żadnych znajomości, i dlatego nie miałem natrętnych znajomych: żyłem jedynie z piastunką samotnicą, która kładzie na oczy złoto-lnianą siatkę rozwianych warkoczy, i pozwala zapomnieć o wszystkiem, co w koło żyje, bawi się, gorączkuje i pożąda, i tylko czasami w chwili nadzwyczajnej cichości i woni tłumaczy słodko szumne gędźby duszy. A że w tej duszy, jak w zwierciadle czarodziejskiem, na które występują odbite raz obrazy, kiedy się je zwilgotni ciepłym oddechem, przeglądały się oczy smętkiem załzawione i usta kurczowo zaciśnięte, i czoło pobrużdzone zgryzotą — więc śpiewa mi ona teraz mglistemi wspomnieniami i wspomnieniami żyć każe.

Żarskiego widywałem jedynie w sali jadalnej i nie zbliżałem się do niego zupełnie, bo widocznie mnie unikał. Poczuwał się snać do wielkiej winy, którą popełnił wobec mnie

i rzeszy młodych ludzi, zbyt zapalonych i szczerych, aby mogli od razu przeniknąć nicość i lichotę tego człowieka. Z początku śledziłem go, chciałem mu wydrzeć tajemnicę jego postępku, ale teraz jestem pewien, że była nią jedynie cyniczna blaga i podłe tchórzostwo. Zresztą starałem się zapomnieć o nim, by nie strącać z piedestalu świętości jedynej istoty, którą całowałem po rękach. A potem wstyd mi było za niego i za siebie.

A przecież mimo niechęci, jaką uczuwałem na każde wspomnienie o nim, przesuwała się wciąż przed mojemi oczyma ta twarz pełna natchnienia, której wyraz minował serca zapalnemi żądzami, i ów ruch nerwowy ramieniem w chwilach zapału i uniesienia.

Pamiętam, jaki dziwny nieprzeparty wpływ wywierał na każdego, kto się doń zbliżył. Kiedy mnie po raz pierwszy do niego prowadzono, śmiałem się z tych zapalonych, do niewoli stworzonych głów, które na każde jego słowo chyliły się ku ziemi, jak tłum w chwili Podniesienia. Powiedziałem wtedy z przekąsem i ufny w swą siłę: „Prowadźcie mnie do waszego Napoleona“. Żarski uścisnął mi dłoń, wrył się oczyma w moje źrenice, że czułem płomień jego wzroku gdzieś na dnie duszy i powiedział zupełnie obojętnie: „To dobrze, że przychodzisz. No, no, przebijemy się młody towarzyszu“. I poddałem się mu natychmiast, bez oporu, mechanicznie, jakby przemówiła z niego moja wola.

Od tej chwili nie zwątpiłem weń nigdy. Nawet wówczas, kiedy całą noc, ową zimną, straszną, piekielną noc czekaliśmy szaleni siłą i niecierpliwością na jego słowo które miało grad ognisty wydrzeć niebu i wymusić na niem przekleństwo zniszczenia. Czekaliśmy jak zbrodniarze, wkuleni w cuchnące zgnilizną nory i błotniste rowy, wpatrzeni skrzepłemi źrenicami w błędne tumany, ciągnące z chrzęstem i jękiem nad naszemi głowami, a nasze blade serca łkały o litość, by się tylko raz zjawił i koniec położył męczarni. Zegary dzwoniły wolno na miejskich wieżach, chwile przedłużały się w wieczność, zmory nocne gryzły naszą wyobraźnię. Koło mnie jakieś młode, ładne chłopię, dziecko prawie, oszalało ze zgrozy: szklane oczy wyłaziły mu z orbit, sztywne, pokurczone tężcem ręce wyciągał konwulsyjnie przed siebie, jakby chciał odegnać straszną marę i bełkotał bezdźwięcznie jakieś rozpaczne, obłędne słowa Musiałem mu zakneblować usta, aby nas nie zdradził.

Tak przeczekaliśmy całą noc. Kiedy świt nadszedł i popatrzyłem w koło siebie, wstrząsnął mnie dreszcz wstrętu i obrzy-

dzenia na widok rozpętanej orgii, śmiertelnego strachu: wielu posiwiało w ciągu tych kilku godzin niepewności i walki; tarzano się w błocie, szarpano odzienie dla schwytania oddechu, ogryzano paznogcie do krwi i do krwi drapano nerwowo dłonie. Kilku młodszych siedziało bezwładnie na ziemi i z szeroko wytrzeszczonych źrenic ściekały im grube, skrzepłe łzy.

Żarski nie przyszedł i od tego czasu nie widziałem go już nigdy.

A teraz wydaje mi się wszystko lichą, dziecinną maszkaradą ze strachami, w której sam odegrałem dyablo nieudolnie rolę błazna. Człowiek tak prędko przyzwyczaja się do myśli, że głową nie zrobi wyłomu w niebie — ha! ha! Uleciały z wiatrem pragnienia światoburcze, gdzieś się podział zapał i ufność we własne siły i obecnie sprawiam przecie stypę ostatniej mojej miłości...

A przecież nie mogę myśli odeprzeć od tego zagadkowego człowieka. Przez kilka dni śledziłem go bez wytchnienia. Wałęsałem się za nim po górach, skradałem się jak złodziej do miejsca, gdzie usiadł dla spoczynku, wpijałem rozgorączkowane oczy przez wał liści i ziela w jego pochmurną, nieprzenikniona twarz. Czasem na brzuchu czołgałem się jak żmija, to znów wspinałem się na drzewa, by tylko usłyszeć choć jedno westchnienie, jedno słowo mimowoli wypowiedziane, zobaczyć jeden nieświadomy gest — nic, nic, zawsze ten sam sztywny, nieodgadniony, goniący błędne myśli po morzu, bez życia. Zdawałem sobie jasno sprawę z bezrozumu takiego postępowania tajemniczość jego wydawała mi się grzązkością myśli a nienaturalny spokój teatralną pozą; planowałem spacery na morze lub w pobliskie góry, kilka razy kupiłem nawet bilet jazdy parowcem, aby mieć pewność, że się raz przecież wyrwę z tego zaklętego koła manii; — a przecież, gdy się zbliżała godzina, kiedy Żarski wychodził z domu, stawałem się nerwowym, nie mogłem miejsca znaleść, o niczem myśleć, jakaś dziwna gorączka febryczna zaczynała mną trząść i szedłem wreszcie za nim chyłkiem, z niespokojnym wzrokiem jak pies, kiedy obity i skopany czołga się, skomląc za nogą pana.

Żarski kupował codziennie kilka bukietów konwalii w kwieciarni, które nosił owemu blademu dziewczęciu, czekającemu na niego pod rozłożystym kasztanem. Potem brał od niej jeden bukiet, głaskał ją lekko po głowie, rzucał miedziaka, puszczał kwiaty na wodę, przyglądał się im chwilę z zajęciem i szedł przed

oczy na jakieś odludne, ponure miejsce, gdzie spędzał bezczynnie czasem kilka godzin. Wreszcie wracał tym samym miarowym, spokojnym krokiem do willi.

Raz zawiódł mnie do kamieniołomów, skąd się rozchodził bez przerwy głuchy huk rozsadzanych minami głazów. Stanął na wysokim wzgórku i patrzył w dół. Chwilę było tak cicho, że ukryty w wysokich zaroślach słyszałem jego spokojny, trochę chrapliwy oddech. Nagle ziemia zachwiała się i olbrzymia skała wyleciała w powietrze z przeraźliwym łoskotem i skowytem, w obłoku miału i grudu kamieni. Żarski ani nie drgnął; ale wyczytałem w jego zastygłym wzroku myśl, że w takich razach o wypadek nie trudno. Na przykład, gdyby zbłąkany podróżnik wszedł przypadkowo na podminowaną skałą w chwili, gdy lont się dopala. Przypuśćmy, że właśnie zrywa się wiatr, który głuszy wszelkie ostrzegawcze nawoływania robotników. I cóż? Ot nieszczęśliwy wypadek — jeden więcej.

Zobaczył mnie. Przystąpił szybko, popatrzył na mnie zimno; potem wycedził dobitnie słowa: „Dlaczego pan mnie śledzisz?“ I odszedł.

Od tego czasu nie śledziłem go już, ale czekałem na drodze, którędy zawsze przechodził.

I teraz czuję jego wzrok surowy, który mnie swoją stalą przygniatał, i widzę każdy jego krok. Oglądam się, mignął tylko na zakręcie i znikł za skałą.

Zwróciłem oczy na morze.

Cicho... Dokoła śpią góry w lazurowem marzeniu południowego słońca, bliżej błękitne, dalej bladoliliowe, a wreszcie jasne i rozwiewne, jak delikatna, mglista śreżoga. Przedemną lazur morza, hen gdzieś w nieskończoność idący, zlewa się bez żadnych przejść i załamań z nieskończonym lazurem nieba. Odbijam od brzegu, wpływam na pełne morze. Wiosła moje prują dyamentową pierś rozmarzonej wody, płynę długo, bez najlżejszych poszeptów i kolysań fali, tracę rozpoznanie świata rzeczywistego i marzenia, łódka moja mija granicę morza i eteru i wpływa na pełne lazurowe morze niebieskich przestrzeni. Góry — port — ziemia — morze pozostają w tyle, roztapiają się w błękicie, a ja unoszę się na mojej łódce, jak ptak wiszący w obłokach, i zmierzam ku jasnemu oku Opatrzności — ku słońcu.

I gdyby mi ktoś powiedział w tej chwili, że płynąć tak będę sto tysięcy lat, zdumiałbym się, że taka mała chwila

dzieli jeszcze moją łódź nadniebną od celu. Więc płyńmy, płyńmy. Opuszczem wiosła, zesuwam się na spód łodzi, ster poruczam losom i marząc słonecznie czekam spokojnie huraganu, który mnie zdoła przerzucić o sto tysięcy lat.

Byle tylko ów hugaran nie przerzucił mnie za daleko, poza mój cel. Bo potem przyjdzie mi znowu czekać pomyślnych wiatrów, a te przychodzą tylko w świątecznych godzinach ekstazy ludzkości — a owych ekstaz coraz mniej... coraz mniej.

Drgnąłem. Zdało mi się, że i w tej godzinie rozkosznego półsnu myślałem o nim... o Żarskim.

## III.

W jednostajnem życiu samotnika nawet owacye, toasty szklany brzęk kieliszków i oczy ze wzruszenia zaczerwienione są wcale miłą i ciekawą rozrywką. Mieszkańcy willi żegnali uroczystym bankietem nieocenionego notaryusza z Nowego Sącza, który opuszczał w smutku pogrążonych serdecznych przyjaciół. A ponieważ na mnie spadła także stosunkowa część owego smutku i opuszczenia, koleją więc rzeczy znalazłem się i ja tego wieczora w zwykłem gronie biesiadników.

Towarzystwo było niezwykle ożywione. Pan notaryusz czuł się bohaterem wieczoru, blagował na zimno niecodzienne przygody ze swego życia, i na zimno zachwycał się morzem. Młody porucznik zabawiał hałaśliwymi dowcipami dwie szerokouste Niemki, z których jedna, cała „en rouge“, wysoka, chuda, z długą szyją i skośnemi oczyma wyglądała jak bohaterka z Mikada; druga, klasyczny okaz teutońskiej rasy z pełnemi piersiami i złoto-płowymi włosami była wiecznie zajęta przymusowem tłumieniem śmiechu, który mimowoli i bez powodu wystrzelał z jej niebieskich oczu, wybuchał z soczystych, karminowych ust, czaił się w falującym rozkosznie biuście: toteż nieustannie trzepotała okrągłemi ramionami, strojnemi w eteryczne epolety, jak młode kaczę, gdy bije niezdarnie o wodę nierozwiniętemi skrzydłami.

U czoła stołu wielkiego miru zażywał stentorowy, mądry głos austryackiego kapitana, który zrzucił na czas urlopu błyszczący mundur i siedział napuszony, z poważną miną ex-feldfebla. Z powodu ogólnego gwaru nie mogłem iść krok w krok za jego znawczymi wywodami, ale ze słów „Scham“ i „Schande“ padających co chwila ze świętem namaszczeniem i z krytyki obrazu Chrystusa, który mu sie wydał „ordinär und infam abgemagert“, można było wnosić, że oburza się na wiedeńską Secesyę.

Milczał tylko Żarski, ja i dwóch młodych akademików ze Lwowa, którzy na każdy zbyt krytyczny sąd pana kapitana, odwracali równocześnie krótko przystrzyżone głowy w stronę mówiącego, robili bezmyślne, rozkosznie przyjemne miny, jakby ich w pięty łechtano, a potem nagle poważnieli, wpijali oczy w talerze i wychylali duszkiem niedopite kieliszki wina. Wszystko to na komendę. automatycznie, bez najmniejszej zmiany, jak dwa sobowtóry. Miny te nabierały jeszcze więcej wyrazistości kiedy siedzący naprzeciw nich urzędnik banku zaczął w obecności dwóch młodych pensyonarek dokonywać wiwisekcyi na „nagiej duszy“ Przybyszewskiego. Mówił szybko, zapalał się, połykał zgłoski, a ilekroć spostrzegł, że twarze sobowtórów przybierają zbyt melancholijno-ironiczny wyraz, zastrzegał się z hałasem, jakby ktoś śmiał powątpiewać o prawdziwości jego sądów, że nikomu swoich poglądów nie narzuca, że to jest tylko jego czysto subjektywne zapatrywanie.

Wino szumiało w głowach, tematy zaczęły się powoli wyczerpywać i zapanowała względna cisza. Pani mecenasowa, która przyjęła na siebie rolę gospodyni, opowiadała właśnie gorszący wypadek, którego widownią stał się niedawno kościółek jakiegoś małego miasteczka. Jakiś złotousty jezuita miał kazanie o zgubności socyalizmu, ale kiedy się zbytnio zapalił i zaczął prawić o wspólności żon, stanowiącej według niego podstawę tej świętokradzkiej nauki, podniósł się gwar wśród tłumu i nazwano słowa księdza kłamstwem i oszczerstwem.

Pauza. Wszystkich oczy zwróciły się na kapitana, który siedział milcząco, ze wzrokiem wzniesionym na powałę i dawał w ten sposób do poznania, że chce mówić.

Mowca zaczął uogólniać. Przedstawił w krótkości zbawienność wyławiania ogólnych zasad z pojedynczych wydarzeń, napomknął coś o historycznem traktowaniu problematów życiowych, zaznaczył swoje stanowisko w kwestyach socyalnych i sprowadzając sprawę na właściwe tory rozpoczął wielką genialną kampanię słowną z „destrukcyjną, bestyalską teoryą“ socyalizmu.

Chwilę przerwał popatrzył na zdumionych jego erudycyą słuchaczy i właśnie nabierał oddechu, aby wyrzucić ostatnie wielkie słowo, które miało gromem piorunu rozwiązać zagadkę społeczną i zdruzgotać do szczętu klikę awanturników, anarchistów i t. p. bluźnierców.

Patrzyłem na Żarskiego. Dotychczas siedział jak zwykle zimny i spokojny, wpatrzony w niebieski deseń talerza. Teraz

podniósł wzrok i spojrzenia nasze skrzyżowały się. Powstał powoli i z uprzejmym uśmiechem zwrócił się do kapitana:

„I cóż dalej?... Proszę...“

Kapitan był zakłopotany, nie mógł znieść mrożącego, spokojnego wzroku Żarskiego i począł się mieszać.

Atmosfera stawała się nieznośnie ciężka i przygniatająca; zaczęto się niespokojnie poruszać na krzesłach. Ale nikt nie śmiał się odezwać. Czułem, jak po wszystkich przechodził zimny dreszcz.

Żarski ujął powoli, bez żadnego wyrazu twarzy, kieliszek pełny wina, podniósł go do wysokości oczu, przyjrzał mu się do światła, mechanicznie wyjął widelcem kruszynę korka, unoszącą się na złotym płynie — i plunął całą jego zawartością kapitanowi w twarz.

Bąknął: „przepraszam“ i wyszedł.

## IV.

Słońce! słońce... Tyle słońca, światła i ciepła w lazurowem powietrzu, że cały świat zdawał się słaniać w złotem zapamiętaniu w jego boskie, rozkoszne ramiona. Piłem namiętnie, bez pamięci jego zdradliwy, rozpajający żar, od którego myśli przechodzą w sny promienne i blednąc padają w miękkie, świetliste puchy bezczucia i omdlenia. Słońce!

Przedemną morze jak lekko marszczona gaza koloru lapislazuli, przetykana srebrnemi nitkami, które świecą, to mrocznieją do światła. Jak eteryczny namiot z gazy, zarzucony na zamykający się dokoła szereg skalnych, fantastycznych kiosków i arkad, nad głęboką, pełną ciszy i anielstwa doliną zaczarowanego królestwa podwodnego. Bladymi płomieniami tkany baldachim nad którym zwiesza się drugi, tej samej barwy i spokoju, różowemi chmurkami umajony, z wielkę plamą słoneczną u zenitu. I bogowie spoglądają ze swych tronów niebieskich na ten świat, który dwoma przeponami błękitnemi zamknęli, i odgraniczyli od nadniebnych swych komnat i komnat podwodnych; podoba im się dzieło stworzenia, i patrzą na ziemię jak na głęboką, pełną ciszy i anielstwa dolinę zaczarowanego królestwa nadwodnego.

I marzy im się słonecznie, że ziemia zapomniała o walce, smutkach i bolach serdecznych i leży cicha, spokojna, pełna mistycznych głębin i gołębiej słodyczy.

Roje rusałek, z blado zielonemi, przeźroczemi skrzydłami panien wodnych, pląsają wesoło u moich nóg, przeginają się

ponętnie przez skały, przykładają chłodne wargi do moich skroni, i szepcą mi łagodne, lube baśnie pełne kołysań fali, poszumów morza i odurzającej woni cyprysów, wawrzynów i pomarańcz. I powoli, cicho zacierają się w duszy widma widzianych obrazów i przeżytych zdarzeń, jak rozpłakane myśli dziecka pod wpływem cichej, zawodzącej kołysanki.

Ale najlżejszym odgłosem kroków zabłąkanego w te ustronia przechodnia budzą się nagle wspomnienia i rozpoczynają nanowo przerwane na chwilę pasożytnicze tokowanie. Wtedy czuję, że mi czegoś nie dostaje pośród tych cudów, że piersiom moim braknie szerokiego oddechu gór, a oczom dzikich majestatycznych potęg, aby krew mogła silniej zatętnić i dusza błysnąć iskrą energii. Szczególnie kiedy po zachodzie słońca stanę w oku i patrzę na zasypiające morze, chłodny wieczorny wiatr przyprzynosi ku mnie skądsić łagodne zapachy skoszonego siana i wierzb rosnących u progów pochylonych, kurnych chat, — idą ku mnie od północy dzwoniące szumy łanów i jednostajny żegot żab.

Tam w mgle sinej olbrzymie, ciche krzesanice głaźne z rozpłonionymi do zachodzącego słońca migotliwymi śniegami — tajemne dale cieni i świateł, wielkie morze natchnienia i ekstazy. Psst... Jakiś serdeczny, melodyjny głos płynie z tych głębin. Znam go: idzie ku mnie od zielonych hal z dusznym zapachem limb i jałowca.

Wytężam słuch: tam niema nikogo. I wtedy wielka tęsknica przychodzi na mnie.

Ot! zwykła fatasmagorya wyobraźni.

I tak płynęły mi dni cicho, jednostajnie, jak miarowe uderzenia pluszczącej fali o zielone brzegi. Nie chodziłem na żadne „sztrandpromenady“ i „placmuzyki“, ludzi widywałem jedynie przy stole, a i tych było coraz mniej, bo sezon się kończył. Czasami tylko pstre myśli czepiały się mej głowy, siadałem na jakimś skalnym wykrocie w rozpacznej pozycyi, i podsuwałem w ten sposób tematy licznym fotografom-amatorom i malarzom, którzy nad morzem szukali natchnienia. Z uciechą widziałem już swoją postać na dziesiątkach obrazów pełnych „Stimmungu“, na tle kulis bezmiernego morza, z wiele mówiącymi napisami: melancholia, rezygnacya itd.

Żarskiego nie widziałem od owej śmiesznej awantury cały tydzień: mówiono, że ciężko zaniemógł i nie przyjmował u siebie nikogo z wyjątkiem lekarza. Myślałem o nim teraz

bardzo rzadko, i byłem z tego niezmiernie zadowolony. Nie mogłem jedynie pojąć, dlaczego tak stanowczo ujął się za socyalizmem i ta myśl męczyła mnie natrętnie. On, który nazywał zawsze socyalistów psami, czekającymi na nędzne okruchy z pańskich stołów!... Ten dziwny człowiek upadał w moich oczach coraz niżej. Czułem, że przy pierwszem spotkaniu cisnę mu w twarz obelgę. Zresztą miałem nadzieję, że go już nigdy nie ujrzę.

Ale w jeden spokojny wieczór oświadczyła mi Pepi, że Żarcki chce się koniecznie ze mną widzieć.

Zdziwiłem się. Byłem pewny, że przeczuwa bliską śmierć i na śmiertelnej pościeli chce swoje sumienie uspokoić i wyspowiadać się przed dawnym towarzyszem. Wszystko to było nieskończenie śmieszne i banalne. Mimowoli stanęła mi przed oczyma ta niegdyś dumna i spokojna twarz Żarskiego, teraz ze łzami skruchy na policzkach, z śmiertelnym strachem w przerażonych oczach i rozpaczliwem przywiązaniem do życia. Uśmiechnąłem się ironicznie i uczuwałem jakieś wewnętrzne zadowolenie, na tak marny i lichy koniec człowieka, którego niegdyś po rękach całowałem, a potem znienawidziłem jako tchórza i renegata. Przytem czułem, jak komicznie ciekawym i natrętnym musiałem się wydawać, kiedym mu się narzucał ciągle moją osobą, i śledził każdy jego krok. A to mnie najbardziej bolało.

Postanowiłem nie iść, i dla pewności, że postanowienia tego nie złamię, ubrałem się szybko i wyszedłem z pokoju. W kurytarzu powtarzałem sobie co chwila: nie pójdę — żeby świat się miał zapaść podemną, nie pójdę. Przechodziłem właśnie koło jego pokoju. Zawahałem się... nacisnąłem klamkę, drzwi skrzypnęły. Cofnąć się było zapóźno. Przepadło.

Żarski siedział przy oknie na fotelu i patrzył na morze. Odwrócił ku mnie twarz: był blady i mizerny, tylko oczy jego błyszczały jak zwykle zimnym, stalowym połyskiem. Skinął głową i popatrzył na mnie. Cała energia, która towarzyszyła mi przy wejściu do pokoju, ustąpiła miejsca jakiejś dziwnej, apatycznej uległości; nie mogłem się nawet litować nad nim, bo oczy jego mi mówiły, że litości nie potrzebuje i pogardza nią.

Po chwili milczenia zaczął Żarski obojętnie:

„Pan nie chciałeś przyjść do mnie, No, no... to przecież naturalne. Ale ja byłem pewny, że pan przyjdziesz."

Nie odpowiedziałem nic.

„Ciekawość pana tu przywiodła — co? Prosta ciekawość. Jestem renegatem.... tchórzem"...

Mówił zimno, niechętnie, jakby go to wszystko nieskończenie mało obchodziło, a usta jego drgały ironicznie. Jakiś mróz wiał od całej jego postaci; nie mogłem patrzeć na niego i wlepiłem bezmyślny wzrok w okno. Księżyc wschodził krwawo, i rzucał płomienistą, ruchliwą smugę na morze. W dali kołysała się barka.

„Ja wcale nie myślę się tłumaczyć, chciałem tylko jeszcze raz ujrzeć pana, byś nie sądził, że boję się spojrzeć mu w oczy. Jutro wyjeżdżam...“

Teraz spojrzałem na niego. Chciałem coś odpowiedzieć ale myśli moje obezwładniały zupełnie i skrzepły. Zauważyłem jedynie na jego kolanach bukiet zwiędłych konwalii. Przed oczyma przesunęła mi się mdła postać bladej kwieciarki, potem konwalie igrające z wodą, jakaś sylwetka oparta o balustradę „sztrandu“. Potem wszystko znikło.

Żarski się rozmarzał.

„Tak, wyjeżdżam. Morze to nie mój świat: bo dusza nasza coś z wirchów i turnic ma w sobie. Do wirchów i turnic tęskni też i płacze nasza taternicza dusza, kiedy się ją do snu ułoży na rozelśniony fiolet morza.“

Uśmiechnął się blado.

„Chcę umierać w kraju. Panu pewnie śmieszno, że taki alarm robię z powodu mej śmierci i kwestyę gabinetową rządów niebieskich, czy nie tak? Podobny jestem do odjeżdżających na okręcie, którzy jeszcze godzinę powiewają chusteczkami aby ich tylko jak najdłużej widziano. Ha! ha! Ale wtedy już nie widać ich, tylko chusteczki.“

Odpoczął.

„Zaczynam dziecinnieć pod koniec. Przez całę noc na przykład, trapiłem się myślą, że w razie, jeśli w powrocie umrę na okręcie wrzucą moje ciało w morze. A ja chcę leżeć w moim kraju, koniecznie w moim. Człowiek staje się czasem sentymentalnym, szczególnie, kiedy widzi... Pan poda mi rękę na pożegnanie, nieprawdaż?“

Głos jego był twardy, i nie czułem najdelikatniejszego choćby drgnienia serdeczności. Przystąpiłem do niego, jeszcze raz popatrzyłem mu w dziwne, głębokie oczy i uścisnąłem gorącą dłoń. Potem bez słowa wyszedłem z pokoju. Coś płakało we mnie, aby wrócić, powiedzieć choć jedno cieplejsze słowo na pożegnanie; w oczach majaczyła mi jego blada twarz z aureolą wschodzącego księżyca i nerwowo drgające ramię. Toć ja tego człowieka po rękach całowałem...

Wybiegłem szybko na ulicę, i przewałęsałem całą noc. Jak monoman powtarzałem bez przestanku jedno pytanie: „Dlaczego on właściwie ujął się za socyalizmem...“

Nazajutrz o świcie Żarski wyjechał.

*i. r.*

---

# O zbieraniu marek pocztowych.

## II.

Kiedy przed miesiącem zwróciła się do nas Redakcya »Teki« z prośbą o artykuł poświęcony sprawie zbierania marek pocztowych — mieliśmy pewne wątpliwości, czy artykuł taki zdoła zainteresować Czytelników i czy w ogóle przyda się pismu przeznaczonemu dla młodzieży szkolnej.

Wątpliwości nasze jednak w krótkim czasie zostały usunięte — bo oto po umieszczeniu naszego pierwszego artykułu (Nr. 8. »Teki« str. 257.) otrzymaliśmy z grona Czytelników kilka listów dowodzących, że sprawą zbierania marek wielka grupa młodzieży bardzo się interesuje. Ponoś nawet nasz artykuł był tematem obszernych i gorących dysput!

Skoro tak rzeczy się mają nie wahamy się przejść w dalszym ciągu naszego referatu do spraw bardziej już specyalnych a wszystkich tych, którzy się filatelię zupełnie nie zajmują prosimy, ażeby powyższe nasze słowa uważać zechcieli za wytłómaczenie naszego postępowania.

* * *

### O austryackich markach pocztowych.

Pierwsze marki pocztowe — wydane jak już poprzednio wspomnieliśmy w. r. 1850 — pod wieloma względami różnią się od marek wydanych później. Przedewszystkiem rysunek mają zupełnie odmienny. Tarcza — nad tarczą korona, — na tarczy orzeł austryacki, — po obu stronach korony na górze napis: »k.k. Post-Stempel« pod tarczą wartość marki, podana w centach. Marki takie wykonane były w kolorze żółtym (1 ct.) czarnym (2 ct.) czerwonym (3 ct.), brunatnym (6 ct.) i niebieskim (9 ct.) i odznaczały się po nadto tem, że *nie miały ząbków*, tylko *wycinane* były z arkuszów Marki te istniały do r. 1858.

Zanim przystąpię do opisu drugiej edycyi marek austryackich muszę jeszcze zaznaczyć, że już przy tych pierwszych markach w jednym i tymsamym gatunku spostrzedz dają się pewne różnice, ważne naturalnie jedynie dla filatelistów. Najważniejszą różnicę stanowi grubość papieru, na którym marki te były drukowane, przechodząca od grubości prawie że bibułki, aż do grubości zwyczajnego papieru kancelaryjnego. Ponadto zachodzą jeszcze drobne różnice w odcieniach barw niektórych marek (np. marka za 1 ct. istnieje w odmianie jasno-żółtej i czerwonawo-żółtej), w położeniu liczby oznaczającej wartość marki względem rysunku liczbę tę bezpośrednio otaczającego (n. p. u marki za 9 ct.) i t. d. Różnice te ważne są jedynie dla zbieraczy, a mają swe uwydatnienie w cenach*) handlarzy. Dla charakterystyki zaznaczę tylko, że w myśl ostatniego katalogu Senfa marka żółta tej edycyi drukowana na grubym papierze kosztuje połowę tego co tasama marka drukowana na cieniutkim papierze (18 i 36 ct. aw.) i że ponadto zachodzą olbrzymie różnice w cenach tychsamych marek używanych i nieużywanych. Ceny marek zależą naturalnie od ich rzadkości a różnica cen między rozmaitemi odmianami tejsamej marki w normalnych warunkach wskazuje, która odmiana jest rzadszą i bardziej poszukiwaną.

W r. 1858 rysunek marek zupełnie został zmieniony.

Marki są przedewszystkiem ząbkowane i w rysunku mieszczą głowę cesarza Franciszka Józefa zwróconą w stronę lewą. Marki za 2 ct. są żółte, za 3 ct. czarne w r. 1858 a od r. 1859 zielone, za 5 ct. czerwone, za 10 ct. brunatne a za 15 ct. niebieskie. Naturalnie i w tej edycyi rozróżniają filateliści jeszcze najrozmaitsze rzadsze odmiany. I tak np. pomijając już różnicę odcieni barw poszczególnych marek, nadmieniam tylko, że w rysunku wieńca laurowego na głowie cesarza istnieją różnice widoczne przy marce niebieskiej za 15 ct. — bardzo charakterystyczne i wpływające na ceny handlarskie tych marek.

W r. 1861 puszczono w obieg nowe wydanie marek. Głowa cesarza zwrócona jest na prawo i jest nieco większą jak w wydaniu poprzedniem. Marki są ząbkowane a barwy mają zupełnie podobne do barw marek poprzednich. Są zatem w tem wydaniu marki żółte (2 ct.), zielone (3 ct.), czerwone (5 ct.), brunatne (10 ct.) i niebieskie (15 ct.); — czarnych marek po 3 ct. nie było.

---

*) Katalog *Senfa* podaje cenę każdej marki i każdej jej odmiany.

Handlarskie ceny tych marek używanych są stosunkowo dość niskie, jedynie marki po 2 ct. i 3ct. są nieco rzadsze. Natomiast nieużywane marki tej edycyi, jak w ogóle wszystkie prawie starsze nieużywane marki austryackie, są bardzo poszukiwane; tak n. p. nieużywana marka tego wydania niebieska ma obecnie cenę handlarską około 7 zł. aw. Nie jest to jeszcze cena zbyt wysoka, bo istnieje ogromna ilość marek droższych i to kilkaset nawet razy droższych, ale na każdy sposób jest to cena charakterystyczna jeżeli się zważy, że tasama marka używana jest ciągle jeszcze dość pospolitą i z łatwością za jednego centa można ją nabyć.

W r. 1863 rysunek marek zasadniczej uległ zmianie. Głowę cesarza znowu zastępuje wypukły biały orzeł austryacki umieszczony w dwóch koncentrycznie ułożonych elipsach. W górnej połowie marki umieszczony jest napis »Kreuzer« ułożony z wielkich kolorowych liter, w środku zaś na dole podaną jest wartość marki w odpowiednich cyfrach białych. Barwy tych marek znowu zbliżone są do barw marek poprzednich, występuje tu jednak po raz pierwszy fakt, że marka za 10 ct. jest niebieską. Barwa ta dla marek dziesięciocentowych od tego czasu w Austryi stale występuje we wszystkich późniejszych wydaniach, w poprzednich zaś wydaniach była udziałem marek po 15 ct. — W tem wydaniu zatem o którem obecnie jest mowa, marki po 2 ct. są żółte, po 3 ct. zielone, po 5 ct. czerwone, po 10 ct. niebieskie a po 15 brunatne.

W r. 1864 wydano marki zupełnie podobne, różnicę stanowi jedynie ząbkowanie. Do różnicy tej dla laików wprost niewidocznej filateliści wielką przykładają wagę, a handlarze marek uwidoczniają ją bardzo wybitnie w odpowiednich swych cenach.

Wdawanie się w szczegóły tego ząbkowania za daleko by nas może prowadziło, dlatego tylko dla zrozumienia rzeczy w krótkości wspomnę, że ząbkowanie oznacza się cyfrą wskazującą ilość ząbków w przestrzeni dwóch centymetrów. Otóż marki z roku 1863 mają ząbkowanie oznaczone cyfrą 14, marki zaś z r. 1864 — cyfrą $9^1/_2$. Marki więc pierwsze mają ząbkowanie znacznie gęstsze a bardziej są poszukiwane z powodu krótko trwającego ich obiegu.

Marki r. 1867 znowu w miejsce orła mają głowę cesarza. Marki są ząbkowane, kolory mają zupełnie analogiczne do poprzednich. Zaznaczyć jednak należy, że w tem wydaniu poraz

pierwszy występują w Austryi marki po 25 ct. (liliowe) i po 50 ct. (brunatne). Rysunek wszystkich marek jest jednaki, jedynie marki po 50 ct. nieco inaczej wyglądają i podwójną mają wielkość.

Rzecz naturalna, że i w tem wydaniu każda marka występuje w najrozmaitszych rodzajach, różniących się między sobą bądź to papierem na którym jest drukowaną, bądź to ząbkowaniem, bądź też wreszcie odcieniami tej samej barwy. Rozmaitość ta uzasadnioną i usprawiedliwioną jest tem bardziej, że marki te bez zasadniczej zmiany istniały aż do r. 1883, to jest przez lat prawie szesnaście i że w ciągu tego czasu dawne zapasy często musiały być uzupełniane. Pominę tu wyliczanie wszystkich odmian ważnych jedynie dla specyalistów wspomnę zaś tylko, że np. pewna odmiana marki piętnastocentowej ma w katalogu Senfa wartość 90 zł., chociaż ta sama marka w powszechnej swej formie kosztuje tylko trzy centy. Naturalnie jednak różnice wyszczególniane przez handlarzy, a polegające jedynie na pewnych mało znaczących szczegółach w wykonaniu marki dla laików a nawet dla filatelistów — jeżeli nie zajmują się specyalnie zbieraniem marek austryackich — bez głębszego są znaczenia. Ważniejszą natomiast różnicę, bo różnicę bardziej już widoczną stanowi w tem wydaniu rysunek głowy cesarza. Istnieją bowiem marki, na których broda cesarza jedynie lekko jest zaznaczoną, inne zaś — zresztą takie same — z brodą wykonaną zupełnie dokładnie. Zarówno jednak jeden jak i drugi gatunek tych marek jest zupełnie pospolity i łatwo do nabycia.

Marki tego wydania istniały do r. 1883 — poczem zastąpione zostały znowu markami o innym rysunku. I znowu w miejsce głowy cesarza umieszczono orła austryackiego — tym razem jednak inaczej wykonanego. Bliższy opis tych marek wydaje mi się zbytecznym, bo sądzę że marki te istniejące jeszcze do niedawna powszechnie są znane. Dla ciągłości jedynie zaznaczę, że w środku orła umieszczoną jest biała tarcza z cyfrą czarną wskazującą wartość marki, że pod tą tarczą znajduje się białe kółko z napisem »kr.« i wreszcie, że wzdłuż marki ciągnie się u góry napis »kais. königl. oesterr. Post«.

Jedynie ten ostatni napis zasługuje na pewne wyszczególnienie, bo w tem wydaniu poraz pierwszy przy markach austryackich znajdujemy zaznaczenie, do którego kraju marka się odnosi. W poprzednich wydaniach oryentować trzeba się było jedynie portretem cesarza lub charakterystycznym orłem państwowym. W barwach i wartościach marek tego wydania zachodzi w poró-

wnaniu z wydaniem poprzedniem jedynie ta różnica, że marka na 2 ct. nie jest żółtą tylko brunatną, że marka za 50 ct. jest liliową a nie brunatną i że wreszcie w miejsce marki 25 ct. dawnego wydania wstępuje po raz pierwszy marka za 20 ct. mająca kolor szary. Ząbkowanie tych marek jest rozmaite. Marki ząbkowane szeroko (9—11½) są znacznie i to nawet bardzo znacznie droższe i rzadsze od marek ząbkowanych gęsto (12½—13).

Przystępujemy obecnie do wydania marek, które powinno być znane wszystkim, bo do wydania r. 1890, istniejącego z małemi zmianami jeszcze i obecnie. Tym razem opis marki pominę w zupełności, bo wystarcza oglądnąć sobie pierwszy lepszy znaczek pocztowy kupiony w trafice, ażeby uwydatnić sobie dokładny jej obraz. Charakterystyczną cechą tego wydania jest bardzo wielka rozmaitość wartości kursowej tych marek, albowiem obok wartości używanych już dawniej mamy jeszcze marki po 1 ct., 12 ct., 24 ct., 30 ct., 1 zł. i 2 zł. Barwy marek są następujące: szara (1 ct.), jasno-brunatna (2 ct.), ciemno-zielona (3 ct.), czerwona (5 ct.), niebieska (10 ct.), różowa (12 ct.), liliowa (15 ct.), jasno-żółta (20 ct.), jasno-niebieska (24 ct.), ciemno-brunatna (30 ct.), fioletowa (50 ct.), ciemno-niebieska (1 zł.), ciemno-czerwona (2 zł.).

Zasadnicze zmiany które w tem wydaniu w następnych latach poczyniono, odnoszą się jedynie do marek od 20 ct. począwszy. Zmiany odnoszące się do pierwszych czterech marek tego szeregu t. j. do marek po 20, 24, 30 i 50 ct. polegają na zmianie rysunku, do dalszych dwóch t. j. po 1 zł. i 2 zł. na zmianie barwy. W pierwszym wypadku zmiana rysunku polega na skośnem umieszczeniu cyfry oznaczającej wartość marki, w drugim wypadku zmiana barwy uwydatnioną jest przez wprowadzenie marek liliowych o wartości 1 zł. i marek zielonych na 2 zł. Wszystkie marki należące do tego wydania są — jak wiadomo — ząbkowane; najpowszechniej występujące ząbkowanie oznaczone jest cyframi 10—11½.

Ażeby w tym chaosie najrozmaitszych marek czytelnicy mogli się zoryentować, podajemy poniżej zestawienie wszystkich austryackich znaczków pocztowych, z którego łatwo się przekonać o ile w poszczególnych wydaniach zmieniały się barwy marek i ich nominalne wartości. Zdaje nam się, że tego rodzaju przegląd złączony z uwagami umieszczonemi poprzednio da szan. Czytelnikom dokładne pojęcie o całej omawianej kwestyi.

# Przegląd austryackich marek pocztowych.

| Rok | 1 ct. | 2 ct. | 3 ct. | 5 ct. | 6 ct. | 9 ct. | 10 ct. | 12 ct. | 15 ct. | 20 ct. | 24 ct. | 25 ct. | 30 ct. | 50 ct | 1 zł. | 2 zł. | Uwaga |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1850—1858 | żółta | czar. | czer. | — | brun. | nieb. | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | bez ząbków orzeł. |
| 1858—1861 | — | żółta | czar. | czer. | — | — | brun. | — | nieb. | — | — | — | — | — | — | — | głowa cesarza. |
| (1859) | — | — | ziel. | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | wydanie dodatkowe |
| 1861—1863 | — | żółta | ziel. | czer. | — | — | brun. | — | nieb. | — | — | — | — | — | — | — | głowa cesarza. |
| 1863—1867 | — | żółta | ziel. | czer. | — | — | nieb. | — | brun. | — | — | — | — | — | — | — | orzeł austryacki. |
| 1867—1883 | — | żółta | ziel. | czer. | — | — | nieb. | — | brun. | — | — | liliow | — | brun. | — | — | głowa cesarza. |
| 1883—1890 | — | brun. | ziel. | czer. | — | — | nieb. | — | — | szara | — | — | — | liliow | — | — | orzeł austryacki. |
| Od r. 1890 | szara | jasno brun. | ciem. ziel. | czer. | — | — | nieb. | róż. | liliow | jasno ziel. | jasno nieb. | — | ciem. brun. | fiolet. | ciem. nieb. | ciem. czer. | głowa cesarza. |
| (1896) | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | liliow | ziel. | wydanie dodatkowe. |

Są w Austryi od r. 1894/5 jeszcze i inne marki, różniące się od wszystkich poprzednio wymienionych tem, że płaci się za nie nie przy wysełaniu listu — ale wtedy dopiero, kiedy już marka taka jest nalepioną i pieczęcią pocztową pozbawioną wartości. Są to t. zw. »nachporto-marken« czyli »marki do dopłaty pocztowej«, nalepiane przez urzędy pocztowe jeżeli wysełający list nie opłacił wystarczającej należytości. Marki te istniejące w dziewięciu odmianach, a mianowicie po 1, 2, 3, 5, 6, 7, 10, 20 i 50 ct. wykonane są wszystkie jednako. Wszystkie są podłużne, brunatne i ząbkowane a jedyną różnicę stanowi wielka cyfra umieszczona w środku, wskazująca wartość znaczka. Marki te — choć często nalepiane są na rozmaitych »kawałkach« urzędowych — wcale nie są pospolite, a marki po 7, 20 i 50 ct. uważane są nawet za dość rzadkie. Jeszcze wyższą cenę handlarską mają te same marki nieużywane, gdyż podobno sprzedawanie tych marek urzędom pocztowym surowo jest wzbronionem.

Oto w krótkości wykaz wszystkich marek austryackich — od najdawniejszych aż do obecnych.

Pominięto tu zupełnie marki gazetowe, chociaż wsród marek austryackich te właśnie dla zbieraczy najbardziej może są interesujące. Tak zwany „*czerwony Merkur*“ t. j. austryacka marka gazetowa z r. 1856 — czerwona, z głową Merkura — należy nawet do największych filatelistycznych rzadkości i w przedostatnim katalogu Senfa miała cenę 4.000 marek niem t. j. przeszło 2.000 zł. W ostatnim katalogu marka ta nie ma już żadnej ceny, bo te nieliczne egzemplarze, które znajdują się w posiadaniu kilku szczęśliwych zbieraczy niezawodnie nie tak prędko dostaną się w ręce handlarzy.

Na wszystko jest jednak rada. Dla bardzo zrozpaczonych filatelistów, którzyby koniecznie tę lukę w swych albumach pragnęli zapełnić — wydano mniej lub bardziej zręcznie wykonane falsyfikaty i sprzedaje się je po cenach, zależnych od znawstwa kupującego. Są tedy zbieracze, którzy posiadają w swych zbiorach takie obrazki i cieszą się, że udało im się zdobyć jedną z najrzadszych marek! Takim zbieraczom winszujemy — ale nie zazdrościmy.

*P. P.*



# Kronika.

Gazeta handlowo-geograficzna zamieszcza artykuł godny uwagi p. t. „Nasz pessymizm narodowy“.

„Oryentując się w sferze zjawisk dzisiejszego życia naszego umysłowego, społecznego i narodowego, znajdujemy na pozór niewiele danych, które pozwalałyby nam wzbudzić w sobie niechwiejną wiarę w przyszłość, w odrodzenie, w zwycięstwo tych idei, które od upadku Polski towarzyszyły każdemu niemal pokoleniu, prowadząc najlepsze w narodzie jednostki do walki o niepodległość.

„Ani Rejtanów, ani Puławskich i Kościuszków, ani Mickiewiczów naród nie wyda w dobie obecnej. O tem nikt nie wątpi, nikt się tem nie łudzi, nikt nie buduje na tem.

„Ostatni ruch o charakterze rowolucyjnym w Polsce, powstania 63 r., ruch stłumiony krwawo i brutalnie przygasa już w pamięci ludzi dzisiejszych. Pokolenie, zrodzone po r. 63, nie ma już żywej tradycyi walki orężnej, ma za to wszczepioną w serca trwogę, w umysły uległość i posłuszeństwo dla żelaznej ręki prawa i bezprawia rządów obcych.

„Niepodległa Polska, Rzeczpospolita z przed r. 1772, państwo samodzielne od morza do morza, mimo wewnętrznego rozstroju, bogate i mające dla wielu współczesnych urok prawdziwej wielkości, dla nas jest już czemś tak niezmiernie dalekiem, że dopiero przy pomocy literatury, na podstawie źródłowego badania dziejów, ducha ówczesnego możemy pojąć, zrozumieć i zgłębić.

„Jaśniejsze chwile porozbiorowe widzimy także, jak przez mgłę. Orły napoleońskie majaczeją nam tylko w wyobraźni, Księtwo warszawskie dla wielu jest terminem bez wyraźnego znaczenia, huk dział pod Grochowem słyszymy jak w hallucynacyi, olszynę znamy z obrazów, emigracyę z książek, a dopiero lata 1846 i 1848 z opowiadań tych, co widzieli na własne oczy chłopów, pijanych żądzą krwi i podnoszących bratobójcze noże na szlachtę, barykady na ulicach Lwowa, mieszczaństwo krakowskie w walce z austryakami, dźwięk kos pod Miłosławiem i Wrześnią, patrzali na szubienice w Warszawie i Wilnie i sami poznali dalekie krańce wschodniego mocarstwa, bezbrzeżne, śniegiem pokryte obszary Sybiru, groźnie szumiące tajgi i mroczne kopalnie nerczyńskie.

„Rok 1863 jest nam najbliższy, bo łączy nas z nim bezpośrednia przeszłość ojców naszych, ale i ta ostatnia tradycya, jak

powiedzieliśmy wyżej, obumiera zwolna, oddala się, szarzeje, niknie nie odżywiona nowym ogniem, nowym zapałem, nowym porywem i tryumfem szlachetnej idei nad nędzą codziennego życia.

„Urodzeni w niewoli, nie mieliśmy nigdy i znikąd żywego przykładu wiary i miłości. Przeciwnie — w dusze nasze sączono zawsze gorycz rozczarowań i jad zwątpień, które musiały bardzo wcześnie przeżreć nasze mózgi i pozbawić nas zdolności do lotu, jeżeli ją wogóle mają kiedy skrzydła ptaków, wyklutych w ciasnej przestrzeni klatki.

„Wychowani w ciężkiej atmosferze przygnębienia w kraju, przygnębienia, które po powstaniu ogarnęło bardzo szerokie masy naszej inteligencyi, widzieliśmy, jak powoli tym wszystkim, co się rzucili do naprawy tonącej „P u r p u r y“ z hasłem pracy organicznej na ustach – opadały ręce, widzieliśmy, jak znikały dawne ideały jeden za drugim, jak szara teraźniejszość mgłą dziwnej melancholii zasnuwała wszystko, co większe i szlachetniejsze“......

„I widzieliśmy, jak nad całą Europą zawisła ciężka chmura pessymizmu. Od r. 1870 odrętwienie, apatya, beznadziejność granicząca z rozpaczą, upadek moralny, brak jakichkolwiek zasad przewodnich w życiu, szły jak mór z wielkich środowisk życia umysłowego i szczepiły zarazę wszędzie przy pomocy literatury, sztuki, nawet nauki, która także wygłosiła swoje „d u b i t o“......

„Zachód skonstatował u siebie specyalną chorobę woli, bezsilność jej, słabość, uśpienie. U nas ta choroba rozwinęła się do najwyższych granic swoich, przetworzyła się nie już w nieprodukcyjność słowiańską, jak się wyraził Sienkiewicz, ale w taką niezdolność do czynu, jakiej nie spotkamy nigdzie, w bierność, o jakiej przykładu trudno w dziejach, w taki sen, że jego długotrwałość o rychłem przebudzeniu wątpić każe.

„Pessymizm w Europie rozlał się szeroką, mętną ale spokojną falą. U nas — uderza on o wszystko i burzy wszystko, nie szczędzi nawet gruzów i popiołów i na nie się rzuca. Zwątpiliśmy o wszystkiem, nawet o tem, czy bohaterskie porywy narodu uzasadnić się dadzą, czy przeszłość nasza była jasną i ma prawo do uwielbienia, do czci z naszej strony. Bobrzyńscy i Koźmiani nauczyli naród odwracać się od przeszłości i starali się dowieść, że mu niewolno o samodzielnej myśleć przyszłości. Oni też i im podobni — świadomie czy nie — byli induktorami pessymizmu w narodzie.

„W trzech zaborach, pod trzema panowaniami, pessymizm nasz narodowy rozrastał i rozrasta się z jednakową siłą, niewiara w odrodzenie występuje w formach bardzo zbliżonych i może to dziś jedyny nasz łącznik, na którym piętna swojego nie położyły rozbiory, jedyny prąd, który przenikał przez kordony, nietamowany niczem.

„Francuz, Włoch, Niemiec — pomimo teoretycznego pessymizmu, żyje i to żyje tak rozlewnie, tak w każdej dziedzinie daje znać o sobie, że ten pessymizm jego niknie, roztapia się w ciągłej działalności, w niepowstrzymanem dążeniu do zdobycia środków, które beztreść i nudę życia mogą chwilowo przynajmniej usunąć.

„Dalej ten sam Francuz, Włoch, Niemiec, chociaż jest pessymistą na polu swoich oderwanych dociekań filozoficznych i wątpi o rozwiązaniu trapiących go zagadek, ma wielką dumę narodową, wierzy w zasoby kultury rodzimej, ufa, że jemu się należy przodownictwo w ruchu cywilizowanym — i nie jest pessymistą narodowym.

„My — przeciwnie. Mniej mamy w sobie głębokiego, filozoficznego pessymizmu, jesteśmy zato w całej pełni pessymistami narodowymi. Dawna, przysłowiowa duma nasza stała się frazesem.

„Niema dziś w Europie kraju, którego obywatele tak mało mieliby wiary w siebie, tak mało ufali we własne siły, we własne zdolności — jak to się dzieje u nas......

„Wszystko osłabia u nas lub niweczy jakaś niewiara a priori powzięta“.....

* *
*

Z powodu artykułu o gimnazyum polskiem w Cieszynie otrzymaliśmy kilka listów, w odpowiedzi na które poczuwamy się do obowiązku wyjaśnić niektóre wątpliwości. I tak z Sambora mamy miłe i serdeczne zapewnienia współdziałania w pracy nad ustaleniem bytu szkoły śląskiej. „Ta wiadomość, że gimnazyum cieszyńskie zwróciło się do nas, do młodzieży z zaufaniem o pomoc, przepełniła nas radością. Ale nie dość na tem, to cośmy z radością przyjęli, postanowiliśmy obrócić w czyn. Stanowczo więc postanowiliśmy zaprowadzić proponowane skarbonki najpierw w naszej klasie, a potem i w innych. Przed końcem roku urzeczywistnić tego nie możemy, bo tylko dwa dni do działania pozostaje i zapał rozbudzony ostygłby przez wakacye, ale przed wakacyami mamy niezmuszoną chęć przyjść gimnazyum z ową tak skromną pomocą i dostarczyć mu kilku książek naukowej treści“. A dalej następuje zapytanie pod jakim adresem należy zebrane broszury posłać i „ja-

kie właściwie książki posyłać, czy wszystkie tylko dla uczniów do klas różnych n. p. Liviusa, Caesara, Wypisy polskie i t. d. czy można także posłać inne dzieła naukowe do biblioteki n. p. „Kreuzzüge“ obszerne dzieło niemieckie. Również nie wiemy, — są dalsze słowa listu — czy z książek szkolnych można posłać trochę już zmienione wydania czy nie, n. p. Gramatykę łacińską, starsze wydanie, chociaż dobre i t. p.“

Zdaniem naszem do biblioteczki szkolnej trzeba przedewszystkiem posyłać polskie książki. Co do treści dzieł — to nie trzeba stawiać sobie ograniczeń — potrzebne i dzieła naukowe i powieści i poezye. Co się nie nada do biblioteki szkolnej pójdzie do biblioteki towarzystw polskich na Śląsku, a zresztą książkę pożyczoną przez ucznia czyta cała jego rodzina. Książki szkolne dla wszystkich klas i nawet w starszych wydaniach przydadzą się, bo uczniowie gimn. w Cieszynie to ubogie dzieci wieśniaków a profesorowie, z pewnością pozwolą w domu uczyć się z podręczników dawniejszych.

Równocześnie z powyższym listem otrzymaliśmy pierwsze egzemplarze odezwy popierającej myśl zbierania składek i to jeszcze przed wyjazdem na ferye. Odezwa wyszła z inicyatywy i z pod pióra uczniów V. gimnazyum we Lwowie.

* * *

Odezwa zapraszająca maturzystów na wiec zajmuje pierwsze szpalty 6 nr-u „Promienia“ z 1 lipca b. r. O wiecu, jego inicyatorach i ich taktyce mówimy na innem miejscu, tu wystarczy podnieść zgrabną, literacką formę odezwy. P. S. O. w dłuższym artykule omawia wytwarzający się u nas w naturalnem następstwie wiekowej niewoli „partykularyzm narodowy“. Kwestyę tę poruszyliśmy w nr. V. „Teki“, tutaj nadmienić trzeba tylko, że autor artykułu wskazuje jako środki stawienia zapory dalszemu rozłamowi wśród polskiego narodu zapoznanie galicyjskiego społeczeństwa z pismami warszawskiemi, dokładniejsze korespondencye z Królestwa w naszej prasie codziennej i wycieczki, w których możnaby poznać różne dzielnice Polski. Bardzo ładny (mimo pewnej przesady w nagromadzeniu słów dla określenia nieraz rzeczy prostych i łatwo zrozumiałych) jest rysunek „fizyonomii duchowej“ Maurycego Zycha. Treścią obrazków Zycha jest najczęściej „bój o zachowanie istoty narodowej“, walka jaką rząd rosyjski toczy z kolei z dzisiejszem pokoleniem. Walka ta jest u Zycha „niemal uduchowioną“, a „terenem jej już nie są

pobojowiska i nie szeroka arena życia społecznego, ale dusze polskie w ich codziennych gnębiących rozterkach, w krwawych konfliktach nerwowo przeczulonego sumienia atakami sobkostwa, gnuśnej małoduszności, egoizmu". „Nie interesuje Zycha owa znana zresztą z literatury martyrologia, w której oprawcą jest żandarm rosyjski, ale wewnętrzna tragedya szarpiących się duchów, gdzie katem i zarazem torturą jest sumienie i przekonanie jednego i tego samego człowieka. W tem leży nadzwyczajna współczesność Zycha jako psychologa i owe szerokie perspektywy ogólno ludzkiej etyki, które on nam, moralista do szpiku kości, z instynktu otwiera, odsłaniając codzienne mozoły, uznojenia i łamania się narodowej myśli". Dla autora cyklu „Rozdziobią nas kruki, wrony..." „walka moskwicyzmu z polskością jest tylko odłamem wielkiego boju dobra ze złem; wszystko co jest szlachetne i piękne, moralne w naturze ludzkiej staje zawsze po stronie pokrzywdzonej. Tak kwestyę narodowego bytu zmienia Zych w problem moralnego znaczenia". Bardzo zajmujące jest zestawienie ostatnich wyników badań nad ogłoszeniem konstytucyi 3-go maja. Autor artykułu dr. St. G. udowadnia, jak wielki wpływ na uchwały sejmu czteroletniego w pamiętnych dniach majowych miała ludność Warszawy, mieszczaństwo „Nie może być dwóch zdań, że konstytucya 3-go maja była rewolucyą, nie tylko co do swej treści (przekształcała zasadniczo ustrój Polski), ale i co do formy ogłoszenia: została przeprowadzoną drogą spisku i zamachu stanu". Uwagi o „udziale Polaków w uroczystościach Puszkinowskich" nie przytaczają ani jednego nowego argumentu poza tymi jakie podaje w tymsamym numerze w „kronice" pomieszczona odezwa stronnictwa demokratyczno - narodowego („Teka" nr. 9) i jakie powtarzały ciągle pisma codzienne. Przykre, a często komiczne wrażenie wywołuje dążność zastąpienia argumentów szeregiem silnych i brukowych wyrażeń. Tak autor mówiąc o ludowej zabawie puszkinowskiej w Warszawie i rozdawaniu po rosyjsku napisanych życiorysów Puszkina, że swej strony bezsilnie dorzuca jako komentarz: „Co za bezczelność". Ładne są „próby literackie", wiersze nadesłane ze Stanisławowa i Drohobycza. Na część literacką złożyły się jeszcze nowelki „Buran" (dokończenie) i dwa tłumaczenia utworów Wasyla Stefanyka: „Wyprowadzali z sioła" i „Stratyw sia". Jest jeszcze artykuł o „zastosowaniu elektromotorów do poruszenia warsztatów mechanicznych" i sprawozdanie z książki prof Angelo Mosso: „Fizyczne wychowanie młodzieży" („Teka" nr. 5). W „Kronice" redakcya popiera myśl składek na gimnazyum polskie w Cieszynie,

„jako twierdzy i strażnicy zachodniej na Śląsku przeciw zakusom germanizacyjnym“ i wita z radością wybór prof. Majerskiego, przyjaciela młodzieży szkolnej, do lwowskiej Rady miejskiej, tudzież subwencyę tejże Rady na zabawy uczniów szkół średnich. Termin konkursu na wiersz ku czci Słowackiego przedłużony został do jesieni.

* * *

Z nr. 11 i 12 zamykamy pierwsze półrocze naszego wydawnictwa. Następny zeszyt „Teki“ opuści prasę we wrześniu.

Kolegów, którzy nie uiścili dotąd prenumeraty za II. kwartał, prosimy o wyrównanie należytości. Prace przygotowane do druku i listy należy przesyłać pod dawnym adresem: Lwów ul. Karola Ludwika l. 1.

* * *

Termin nadsyłania prac na konkurs ogłoszony w VI. nr. „Teki“ musimy przedłużyć do 1 września b. r. Nowel przysłano nam dotąd stosunkowo niewiele, a i te spotkały się z ostrą krytyką w sądzie, który ma orzec o kwalifikacyi utworów do druku.






Odpowiedzialny redaktor: akad. Edward Neumann. Z drukarni W. A Szyjkowskiego